



ŚMIERTELNA BITWA

KSIĘGA 17 KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA

MORGAN RICE

Morgan Rice
Śmiertelna Bitwa
Серия «Кругу
Czarnoksiężnika», книга 17

Аннотация

KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontryntrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce. - Books and Movies Reviews, Roberto Mattos (Wypowiedź na temat Wyprawy Bohaterów) ŚMIERTELNA BITWA jest siedemnastą, ostatnią częścią bestsellerowego cyklu powieści KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, który rozpoczyna WYPRAWA BOHATERÓW – księga pierwsza. W ŚMIERTELNEJ BITWIE Thor staje przed największym i ostatecznym wyzwaniem. Kontynuuje wyprawę w głąb Krainy Krwi w nadziei na to, iż uda mu się uratować Guwayne’a. Stając oko w oko z wrogami potężniejszymi, niż kiedykolwiek przypuszczał, Thor szybko uświadamia sobie, że ma przeciwko sobie armię ciemności, z którą jego moce nie mogą się równać. Gdy dowiaduje się, że może zyskać odpowiednie moce dzięki świętemu przedmiotowi, którego istnienie utrzymywano w

tajemnicy przez wieki, musi wyruszyć w ostateczną misję, aby go odzyskać, zanim będzie za późno. Na szali spoczywa bowiem los całego Kręgu. Gwendolyn dotrzymuje obietnicy danej królowi Grani. Wchodzi do wieży i staje twarzą w twarz z przywódcą kultu, pragnąc dowiedzieć się, jakie skrywa tajemnice. Ujawniona prawda każe jej udać się do Argona, a ostatecznie do jego mistrza – gdzie poznaje największą tajemnicę ze wszystkich. Może nawet przyczynić się do zmiany losów jej ludu. Gdy Grań zostaje odkryta przez Imperium, rozpoczyna się inwazja. Kraina staje wobec ataku największej armii znanej człowiekowi. Na barki Gwendolyn spada obrona ludu i wyprowadzenie go na jeszcze jeden, ostateczny, masowy exodus. Bracia Thora stają w obliczu niewyobrażalnego ryzyka. Angel umiera z powodu trądu. Darius walczy o swoje życie u boku ojca w stolicy Imperium. Niespodziewany zwrot sytuacji sprawia, że nie mając nic do stracenia, w końcu wykorzystuje w pełni swe własne umiejętności. Erec i Alistair docierają do Volusii, wywalczywszy sobie drogę w górę rzeki, i podążają dalej w poszukiwaniu Gwendolyn i wygnańców, staczając po drodze nieoczekiwane bitwy. Godfrey uświadamia sobie, że musi w końcu podjąć decyzję, by stać się człowiekiem, jakim pragnie być. Otoczona siłami Rycerzy Siódemki Volusia musi przejść próbę, jako bogini i odkryć, czy ona sama ma moc kruszenia mężczyzn i zdoła rządzić Imperium. Tymczasem Argon, w obliczu końca swych dni, zdaje sobie sprawę, że nadszedł czas, aby złożyć siebie w ofierze. Kiedy na szali leży dobro i zło, rozstrzygnąć losy Kręgu po wieczne czasy może jedynie ostateczna, epicka bitwa – największa bitwa wszech czasów. Odznaczająca się wyszukaną inscenizacją i charakteryzacją ŚMIERTELNA BITWA to epicka opowieść o przyjaciołach i kochankach, rywalach i zalotnikach, rycerzach i smokach, intrygach i politycznych machinacjach, o

dorastaniu, o złamanych sercach, oszustwach, ambicji i zdradzie. To opowieść o honorze i odwadze, losie i przeznaczeniu, o magii. To fantazja wciągająca nas w świat, którego nigdy nie zapomnimy i który przemówi do wszystkich grup wiekowych i płci. ŚMIERTELNA BITWA jest najdłuższa spośród wszystkich części cyklu. Liczy dziewięćdziesiąt trzy tysiące słów. Powieść pełna akcji... Styl Rice jest równy, a początek serii intryguje. - Publishers Weekly

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	14
ROZDZIAŁ DRUGI	24
ROZDZIAŁ TRZECI	29
ROZDZIAŁ CZWARTY	35
ROZDZIAŁ PIĄTY	46
ROZDZIAŁ SZÓSTY	51
ROZDZIAŁ SIÓDMY	60
ROZDZIAŁ ÓSMY	65
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	71
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	79
ROZDZIAŁ JEDENASTY	85
ROZDZIAŁ DWUNASTY	91
ROZDZIAŁ TRZYNASTY	100
ROZDZIAŁ CZTERNASTY	105
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY	110
Конец ознакомительного фрагмента.	111

ŚMIERTELNA BITWA

(KSIĘGA 17 KREGU CZARNOKSIEŻNIKA)

Morgan Rice

PRZEKŁAD

MICHAŁ GŁUSZAK

O autorce

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań

z nami w kontakcie!

Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

„KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontrintrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce.”

- Books and Movie Reviews, Roberto Mattos

„Zajmujące epickie fantasy.”

- Kirkus Reviews (Wyprawa bohaterów)

„Początki czegoś niezwykłego.”

- San Francisco Book Review (Wyprawa bohaterów)

„Powieść pełna akcji... Styl Rice jest równy, a początek serii intryguje.”

- Publishers Weekly (Wyprawa bohaterów)

„Porywające fantasy... Zapowiada się obiecująca epicka seria dla młodzieży.”

- Midwest Book Review (Wyprawa bohaterów)

Książki autorstwa Morgan Rice

RZĄDY MIECZA

MARSZ PRZETRWANIA (CZĘŚĆ 1)

O KORONIE I CHWALE

NIEWOLNICA, WOJOWNICZKA, KRÓLOWA (CZĘŚĆ

ZŁOCZYŃCA, WIĘŹNIARKA, KRÓLEWNA (CZEŚĆ 2)
RYCERZ, DZIEDZIC, KSIAŻĘ (CZEŚĆ 3)
KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY
POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)
POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ #2)
POTĘGA HONORU (CZEŚĆ #3)
KUŹNIA MĘSTWA (CZEŚĆ #4)
KRÓLESTWO CIENI (CZEŚĆ #5)
NOC ŚMIAŁKÓW (CZEŚĆ #6)

KRĘGU CZARNOKSIEŻNIKA
WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)
MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)
LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)
ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)
BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)
SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)
RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)
OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)
NIEBIE ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)
MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)
ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)
KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)
RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)
PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)
SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)

POTYCZKI RECERZY (CZEŚĆ 16)
ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)
TRYLOGIA O PRZETRWANIU
ARENA JEDEN: ŁOWCY NIEWOLNIKÓW (CZEŚĆ 1)
ARENA DWA (CZEŚĆ 2)
WAMPIRY, UPADŁA
PRZED ŚWITEM (CZEŚĆ 1)
WAMPIRZE DZIENNIKI
PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)
KOCHANY (CZEŚĆ 2)
ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)
PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)
POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)
ZARECZONA (CZEŚĆ 6)
ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)
ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)
WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)
UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)
NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)
OPĘTANA (CZEŚĆ 12)
Copyright © Morgan Rice, 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Za wyjątkiem wyjątków określonych w ustawie U.S. Copyright Act z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, dystrybuowana ani zmieniana (w żadnej formie ani w żadnym znaczeniu) ani

przechowywana w bazach danych, czy systemach wyszukiwania treści bez uprzedniej zgody autorki.

Niniejszy ebook przeznaczony jest wyłącznie do osobistego użytku. Nie może on być odsprzedawany, ani oddawany innym ludziom. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, prosimy, o zamówienie dodatkowej kopii dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, a nie została ona przez ciebie zamówiona, albo nie została zamówiona do wyłącznego użycia przez ciebie, prosimy o jej zwrócenie i zamówienie własnej kopii. Dziękujemy za uszanowanie ciężkiej pracy autorki.

Niniejsze dzieło opisuje historię fikcyjną, imiona, bohaterowie, firmy, organizacje, miejsca, uroczystości i wydarzenia również stanowią wytwór wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwa do rzeczywistych osób, żyjących lub martwych, są przypadkowe.

Ilustracja na okładce Copyright Photosani, na licencji Shutterstock.com



SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Dla Jake'a Maynarda.

Prawdziwego wojownika.

- Ty idziesz na mnie z mieczem, dzidą i zakrzywionym nożem,

ja zaś idę na ciebie w imię Pana Zastępów, Boga wojsk –

-- słowa Dawida do Goliata

1 Księga Samuela, 17:45

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Thorgrin stał na kołyszącym się wściekle okręcie i spoglądał przed siebie z przerażeniem. Z wolna zaczęło do niego docierać, co właśnie uczynił. Spuścił wzrok na swą dłoń, w której nadal spoczywał Miecz Śmierci, po czym, zszokowany, spojrzał w górę, ledwie kilka cali wyżej, na twarz Reece'a, swego najbliższego druha. Wpatrywał się w niego wybałuszonymi oczyma, z których wзираło cierpienie i poczucie zawodu. Ręce zadrżały mu gwałtownie, kiedy uzmysłowił sobie, że właśnie wbił ostrze w pierś swego najlepszego kompana i on umiera na jego oczach.

Thor nie potrafił pojąć, co zaszło. Koniec końców, miotany wodnym żywiołem na wszystkie strony okręt wypłynął po drugiej stronie Cieśniny Obłędu. Morski prąd zelżał nieco, statek wyprostował się, a gęste chmury zaczęły ustępować. Niesiony rozpędem okręt po chwili wyrwał się na spokojne wody.

A kiedy to nastąpiło, mgła przysłaniająca umysł Thora ustąpiła i poczuł się na powrót sobą, począł znów klarownie postrzegać świat. Spojrzał na znajdującego się przed nim Reece'a. Serce mu pękło, gdy dotarło do niego, że ta twarz nie należy do żadnego wroga, lecz do jego najlepszego przyjaciela. Pojął z wolna, co uczynił, uświadomił sobie, iż znalazł się w objęciach czegoś, co przewyższało jego moce, szaleńczego urojenia, nad którym nie potrafił zapanować, za którego sprawą

dopuszczył się tego okropnego czynu.

- NIE! – krzyknął pełnym udręki głosem.

Wyciągnął Miecz Śmierci z ciała Reece'a i w tej samej chwili jego najlepszy kompan wydał tchnienie i osunął się w dół. Thor cisnął miecz na bok. Nie chciał go widzieć na oczy. Oreż upadł z głuchym odgłosem na pokład, zaś Thor upadł na kolana i pochwycił Reece'a, przytrzymał w swoich ramionach, pragnąc za wszelką cenę ocalić go od śmierci.

- Reece! – zawołał. Poczucie winy zdruzgotało go bez reszty.

Thor wyciągnął dłoń i przycisnął ją do rany, starając się powstrzymać krwawienie. Poczuł jednak, jak gorąca krew przeciska się przez jego palce, jak siły życiowe Reece'a uchodzą z jego ciała.

Elden, Matus, Indra i Angel, również uwolnieni z sidła własnego obłędu, podbiegli do nich rychło i otoczyli ciasnym kręgiem. Thor zamknął oczy i ze wszystkich sił począł modlić się, by jego druh powrócił do niego, by on, Thor, otrzymał szansę na naprawę swego błędu.

Wtem usłyszał odgłos kroków. Podniósł wzrok i ujrzał Selese, która podeszła do niego. Jej skóra nabrała niespotykane bladego odcienia, a jej oczy błyszczały nieziemskim światłem. Osunęła się na kolana obok Reece'a i wzięła go w swe ramiona. Thor wypuścił go na widok otaczającej Selese poświaty, przypomniawszy sobie zarazem o jej uzdrowicielskich mocach.

Selese podniosła wzrok na Thora. Jej oczy płonęły intensywnym żarem.

- Tylko ty zdołasz go ocalić – powiedziała natarczywie. – Natychmiast umieść dłoń na jego ranie! – rozkazała.

Thor wyciągnął rękę i przyłożył dłoń do klatki piersiowej Reece’a. W tej samej chwili Selese położyła również swoją dłoń. Poczuł żar i moc emanujące z jej dłoni, przeszywające go i wnikające w ranę Reece’a.

Zamknęła oczy i poczęła nucić. Thor zaś poczuł, jak w ciele Reece’a narasta żar. Modlił się gorliwie, ze wszystkich sił, o to, by jego kompan powrócił, by wybaczył mu obłąd, który go do tego doprowadził.

Odetchnął z ulgą, gdy Reece otworzył z wolna oczy. Zamrugał powiekami i spojrzał w górę, na niebo, po czym usiadł pomału.

Na oczach zdumionego Thora Reece zamrugał powiekami kilkakrotnie, po czym spojrzał na swą ranę: została całkowicie uleczone. Thor zaniemówił z wrażenia, i z podziwu dla mocy Selese.

- Bracie mój! – zawołał.

Wyciągnął ręce i przytulił go. Zdezorientowany nieco Reece odwzajemnił uścisk, po czym, z pomocą Thora, wstał.

- Ty żyjesz! – wykrzyknął Thor. Uścisnął mu ramię, niemal nie mogąc w to uwierzyć. Przyszły mu na myśl wszystkie te bitwy, które stoczyli u swego boku, wszystkie wspólne przygody i myśl o utracie Reece’a była dla niego nie do zniesienia.

- A dlaczegożby nie? – zamrugał powiekami zdezorientowany Reece. Rozejrzał się wokoło po pełnych zdziwienia twarzach legionistów i sam popadł w zdziwienie. Wówczas pozostali

podeszli do niego, jeden po drugim po kolei, i uściskali go.

Thor spoglądał na podchodzących i wtem coś mu zaświtało. Nagle dotarło do niego, pojawił ze zgrozą, że kogoś brakuje: O'Connora.

Popędził do burty i rozpaczliwie przeszukał wzrokiem otaczającą okręt wodę, przypomniawszy sobie, jak O'Connor, opętany swym szaleństwem, wyskoczył z niego wprost w szalejący morski żywioł.

- O'Connor! – ryknął.

Pozostali podbiegli do niego i również jęli przyglądać się wodzie. Thor wyteżył wzrok, wyciągnął szyję i spojrzał na powrót w stronę cieśniny, na kotłujące się szaleńczo czerwone fale, gęste od krwi – i wówczas go dostrzegł. O'Connor młócił czerwoną ciecz, walcząc z wciągającym go żywiołem tuż na granicy Cieśniny Obłądu.

Thor nie marnował ani chwili; zareagował instynktownie, podskoczył na reling i runął głową w dół do morza.

Gdy tylko zanurzył się w nim, uderzyło go, jak gorąca była otaczająca go woda, i jak gęsta. Jakby pływał we krwi. Taka gorąca, iż miał wrażenie, że pływa w błocie.

Musiał użyć wszystkich sił, by przebrnąć przez kleistą wodę i wynurzyć się na powierzchnię. Utkwił wzrok w O'Connorze, który tonął już prawie. Zauważył panikę w jego oczach. Dostrzegł również, iż z wolna opuszcza go obłąd, jako że O'Connor wypłynął już z cieśniny na otwarte morze.

Mimo to, choć młócił wodę nieustannie, tonął prawie. Thor

pojął, iż jeśli wkrótce nie dotrze do niego, O'Connor pójdzie na dno Cieśniny i już nigdy go nie znajdą.

Thor podwoił wysiłki. Płynął ze wszystkich sił, na przekór nieznośnemu bólowi i wyczerpaniu, które przytłaczały jego barki. I wnet, kiedy już niemal dotarł na miejsce, O'Connor zniknął pod wodą.

Na widok znikającego pod powierzchnią przyjaciela Thor poczuł zastrzyk adrenaliny. Wiedział, iż ma tylko jedną szansę. Pomknął przed siebie, zanurkował i odepchnął się potężnym kopnięciem. Popłynął pod powierzchnią. Otworzył oczy i wyteżył wzrok, starając się dojrzeć cokolwiek w gęstej mazi: lecz nie zdołał. Szczypały zbyt mocno.

Zamknął oczy i zdał się na instynkt. Zawezwał jakąś głęboką część siebie, która widzi bez patrzenia.

Odepchnął się kolejnym potężnym wykopem nóg, wyciągnął ręce, szukając po omacku, i poczuł coś: rękaw.

Chwycił O'Connora i przytrzymał mocno, uszczęśliwiony, ale też zdumiony ciężarem tonącego przyjaciela.

Szarpnął go, zawrócił i ze wszystkich sił popłynął z powrotem ku powierzchni. Cierpiał niewysłowione katusze: każdy jego mięsień buntował się przeciwko takiemu traktowaniu, lecz on wciąż wierzgał nogami i płynął ku wolności. W gęstej wodzie panowało tak wielkie ciśnienie, iż miał wrażenie, że za chwilę pękną mu płuca. Z każdym zamachnięciem ręki czuł, że ciągnie za sobą cały świat.

I kiedy już sądził, że nie podoła temu dłużej, że pójdzie na

dno razem z O'Connorem i pomrze tu, w tym okropnym miejscu, nagle wynurzył się nad powierzchnię wody. Łapiąc gwałtownie powietrze, rozejrzał się wokoło i westchnął z ulgą. Zauważył, że wypłynęli po drugiej stronie Cieśniny Obłędu, na otwartym morzu. Na widok wyskakującej obok niego nad wodę głowy O'Connora, który również począł łapać gwałtownie oddech, jego poczucie ulgi osiągnęło pełnię.

Na jego oczach obłęd opuścił O'Connora i w jego spojrzeniu na powrót dostrzec można było przytomność umysłu.

O'Connor zamrugał kilkakrotnie powiekami, krztusząc się i wypływając krew z ust, po czym spojrzał pytająco na Thora.

- Co my tu robimy? – spytał zdezorientowany. – I gdzie my jesteśmy?

- Thorgrin! – zawołał czyjś głos.

Thor usłyszał plusk wody. Odwrócił się i zobaczył grubą linę unoszącą się obok niego na wodzie. Podniósł wzrok i ujrzał stojącą przy burcie Angel, a wraz z nią wszystkich pozostałych. Zawrócili okręt, by do nich podpłynąć.

Thor chwycił linę, drugą ręką przytrzymał O'Connora, i wówczas lina ruszyła. Elden wychylił się przez burtę i dzięki swej wielkiej sile przyciągnął ich obu do kadłuba. Dołączyli do niego pozostali legioniści. Pociągnęli razem, aż Thor poczuł, jak unosi się w powietrze i, w końcu, przetacza przez reling. Potem, wraz z O'Connorem, grzmotnęli o pokład z głuchym odgłosem.

Thor był wyczerpany, nie mógł złapać tchu i wciąż krztusił się morską wodą, leżąc bezładnie na pokładzie tuż obok

O'Connor; ten zaś odwrócił się i spojrzał na niego. Był równie wykończony, a z jego oczu biła wdzięczność. Thor pojął natychmiast, że O'Connor mu dziękuje. Słowa były zbyteczne – Thor rozumiał dobrze. Posługiwali się bezsłownym kodem. Byli braćmi. Poświęcenie dla drugiego było ich rzemiosłem. W tym zawierało się ich życie.

Wtem, O'Connor wybuchnął śmiechem.

W pierwszej chwili Thor przejął się, sądząc, że obłąd wciąż nęka przyjaciela. Jednak po chwili dotarło do niego, że O'Connor miewa się dobrze. Wrócił po prostu do siebie. Śmiał się w poczuciu ulgi z radości, iż nadal żyje.

Thor również roześmiał się, poczuwszy, jak uszło z niego napięcie. Pozostali dołączyli do nich. Przeżyli; wbrew wszelkim przeciwnościom, wciąż żyli.

Pozostali członkowie legionu podeszli do nich, chwycili Thora i O'Connora za ręce i postavili na nogi jednym szarpnięciem. Spletli dłonie i rzucili się sobie w objęcia z radością. Ich okręt wypłynął wreszcie na spokojne wody, gdzie żegluga przebiegała bez zakłóceń.

Thor obejrzał się i zauważył, że odpływają coraz dalej od Cieśniny. Z każdą chwilą odzyskiwali też coraz większą przytomność umysłu. Dokonali tego; przebyli Cieśninę, aczkolwiek cena była wysoka. W jego mniemaniu drugi raz nie przeżyliby takiej przeprawy.

- Patrzcie! – zawołał Matus.

Thor odwrócił się wraz z pozostałymi i podążył wzrokiem

ku miejscu, które wskazywał jego palec – i doznał wstrząsu na widok tego, co zobaczył. Na horyzoncie jawił się całkiem odmienny krajobraz, nowa ziemia w tej Krainie Krwi. Pejzaż przytłaczały ciężkie, mroczne chmury, które zawisły nisko nad horyzontem. Woda wciąż była gęsta od krwi – jednakże tym razem zarysy brzegu znajdowały się bliżej, były lepiej widoczne. Linia brzegowa czerniała zjawiskowo, pozbawiona jakichkolwiek drzew, czy życia, niejako wyściełana popiołem i ziemią.

Serce zabiło Thorowi mocniej, kiedy w oddali, poza brzegami lądu, dostrzegł czarny zamek zbudowany z czegoś, co wyglądało na mieszaninę ziemi, popiołu i błota. Budowla wyrastała z ziemi, jakby stanowiła z nią jedność. Thor wyczuł natychmiast emanujące z niej zło.

Do podnóża zamku wiódł wąski kanał usiany licznymi pochodniami, na którego straży stał blokujący drogę most zwodzony. Thor zauważył w oknach zamku płonące pochodnie i natychmiast nabrał pewności, wiedział, że Guwayne jest na zamku, że na niego czeka.

- Na pełnych żaglach! – ryknął Thor, czując, że odzyskał panowanie nad sytuacją, czując na nowo sens istnienia.

Jego bracia ruszyli z miejsca. Jęli stawiać żagle, które złapały silną bryzę wiejącą od rufy i popchnęły okręt w przód. Po raz pierwszy od chwili wpłynięcia do Krainy Krwi, w Thorze odezwał się optymizm, zrodziło przekonanie, że naprawdę zdołają odnaleźć jego syna i uratować go przed tym miejscem.

- Tak się cieszę, że żyjesz – dobiegł go czyjś głos.

Thor odwrócił się, spuścił wzrok i zobaczył uśmiechającą się do niego i szarpiącą go za koszulę Angel. Uśmiechnął się, przyklęknął obok niej i przytulił ją do siebie.

- A ja, że ty również – odparł.

- Nie rozumiem, co się stało – powiedziała. – W jednej chwili byłam sobą, a już w następnej... jakbym nie знаła samej siebie.

Thor pokręcił z wolna głową, starając się jak najszybciej o tym zapomnieć.

- Obłąd to najgorszy z wrogów – odrzekł. – My sami stanowimy wroga, którego nie zdołamy przemóc.

Zmarszczyła brwi z z troskaniem.

- Czy to się kiedyś jeszcze wydarzy? – spytała. – Czy jest tu więcej takich miejsc? – spytała ze strachem w głosie, przyglądając się linii horyzontu.

Thor również przeczesał horyzont wzrokiem, zastanawiając się nad tym samym pytaniem – kiedy, ni stąd, ni zowąd, odpowiedź sama nadeszła, pędząc w ich stronę.

Usłyszeli potężny plusk, niczym odgłos wypływającego na powierzchnię wieloryba, i Thor ujrzał, nie bez zdumienia, najbardziej szkaradne stworzenie, jakie kiedykolwiek widział. Wyglądało niczym gigantyczna kałamarnica, wysoka na pięćdziesiąt stóp, jaskrawoczerwona, koloru krwi. Wystrzeliła z wody i zawisała w powietrzu nad okrętem, wywijając na wszystkie strony tuzinami swych długich na trzydzieści stóp macek. Jej świdrujące, żółtawe ślepia spoglądały na nich z góry złowrogo,

z wściekłością, a ogromna paszcza pełna ostrych, żółtawych kłów otworzyła się z odrażającym dźwiękiem. Potwór przesłonił resztki światła zsyłanego przez ponure niebiosy i wrzasnął nieziemskim krzykiem, po czym runął na nich z rozpostartymi mackami, gotowy pochłonąć cały okręt.

Thor obserwował go z przerażeniem, skryty wraz z innymi w jego cieniu. Wiedział, że umknęli jednej pewnej śmierci tylko po to, by znaleźć drugą.

ROZDZIAŁ DRUGI

Imperialny dowódca zaciął zerta batem raz za razem, galopując na nim przez Wielkie Pustkowia, podążając przez pustynię za śladem, jak to czynił od wielu już dni. Jego ludzie jechali tuż za nim, dysząc ciężko, będąc na skraju wyczerpania. Przez cały ten czas – nawet nocą – nie pozwolił im ani na chwilę odpoczynku. Wiedział, jak zajeździć zerta—wiedział też jak wykończyć ludzi.

Nie miał litości dla siebie i z pewnością nie miał jej dla swych ludzi. Pragnął, by stali się odporni na wysiłek, skwar i chłód – zwłaszcza gdy wypełniali tak uświęconą misję jak ta obecna. Wszak, jeżeli ten ślad rzeczywiście prowadził tam, dokąd miał nadzieję, że prowadzi – do samej legendarnej Grani – wówczas losy Imperium mogłyby ulec zupełnej zmianie.

Dowódca ubódł swego zerta piętami tak mocno, że ten zakwiczał i przyspieszył jeszcze bardziej, niemal przewracając się o własne nogi. Zmrużył oczy przed słońcem i zlustrował szlak, którym podążali. Wiele już ich pokonał w swoim życiu i uśmiercił wiele osób, które znalazł na ich krańcu – jednakże nigdy jeszcze nie podążał szlakiem, który byłby równie pasjonujący. Czuł, że jest blisko największego odkrycia w historii Imperium. Jego imię zapadłoby w pamięć po wieki, wyśpiewywane przez kolejne pokolenia.

Wspiął się na pustynną fałdę i usłyszał cichy, acz

narastający dźwięk, jakby pustynia wzbierała burzą; kiedy osiągnęli najwyższy punkt, spojrzął w dal, spodziewając się ujrzeć nadciągającą burzę piaskową. Doznał wstrząsu na widok znajdującej się sto jardów dalej, nieruchomej ściany piasku, który wznosił się od samego podłoża pod niebo, wirując i kłębiąc się niczym unieruchomiona trąba powietrzna.

Zatrzymał się, a wraz z nim przystanęli jego ludzie. Zaczęli obserwować z zaciekawieniem owo zjawisko, które zdawało się stać niezmiennie w miejscu. Nie mógł tego pojąć. Był to niby mur rozszalałego piachu, który jednakże nie przesunął się bliżej. Zaciekało go, co może znajdować się po drugiej stronie. W jakiś sposób wyczuwał, że to Grań.

- Twój szlak dobiegł końca – rzekł szyderczo jeden z jego żołnierzy.

- Nie przejdziemy przez ten mur – powiedział inny.

- Przywiodłeś nas jedynie ku większej kupie piasku – rzekł inny.

Dowódca pokręcił z wolna głową i spojrzął gniewnie z przeświadczeniem o swej racji.

- A jeśli po drugiej stronie leży jakaś kraina? – ripostował.

- Drugiej stronie? – spytał żołnierz. – Postradałeś rozum. To jedynie wielki tuman piachu, bezkresne pustkowie, jak cała reszta tej pustyni.

- Uznaj swą porażkę – powiedział inny żołnierz. – Zawróć – w innym razie zawrócimy bez ciebie.

Dowódca odwrócił się i zmierzył żołnierzy wzrokiem,

zdzumiony bez reszty ich beczelnością – w ich oczach ujrzął pogardę i bunt. Wiedział, że musi naprędce podjąć jakieś kroki, jeśli chce położyć mu kres.

W napadzie nagłej wściekłości sięgnął w dół, dobył sztyletu ze swego pasa i jednym ruchem ciął w tył, zatapiając ostrze w gardle żołnierza. Żołnierz krzyknął, po czym zwałił się ze swego zerta i grzmotnął o ziemię. Na piasku zebrała się kałuża świeżej krwi. W ułamku sekundy, niewiadomo skąd, pojawiła się chmara owadów, oblażała jego ciało i zjadła je.

Pozostali żołnierze spojrzeli ze strachem na swego dowódcę.

- Ktoś jeszcze ma ochotę podważyć moje rozkazy? – spytał.

Jeźdźcy spojrzeli na niego nerwowo, lecz nic już nie powiedzieli.

- Albo zabije was pustynia – rzekł – albo ja to uczynię. Wybór należy do was.

Dowódca pognął przed siebie, opuściwszy głowę, wydał potężny okrzyk bojowy i pogalopował wprost ku ścianie piasku. Wiedział, że może oznaczać to śmierć. Wiedział też, że jego ludzie podążą za nim. Chwilę później usłyszał odgłosy ich zertów i uśmiechnął się z zadowolenia. Czasami wystarczyło tylko pokazać im ich miejsce.

Wrzasnął, kiedy wjechał w piaskowe tornado. Miał wrażenie, że zwała się na niego milion funtów piasku, ociera się o jego skórę zewsząd, a mimo to brnął coraz dalej, coraz głębiej. Panował ogromny jazgot, jakby jego uszy bombardowały tysiące szerszeni, a mimo to galopował dalej, poganiał zerta kuksańcami,

zmuszając, mimo protestów, by gnał coraz głębiej i głębiej. Czuł, jak piach drapie jego twarz, jak wciska się do oczu, jak zaraz rozerwie go na strzępy.

A mimo to napierał dalej.

I kiedy już przyszło mu do głowy, że może jego ludzie mieli rację, że ta ściana wiedzie donikąd, że pomrą tu wszyscy, nagle, ku jego wielkiej uldze, wypadł po drugiej stronie, z powrotem na słoneczne światło. Już nie ocierał go piach, nie dudniło mu w uszach, nic tylko otwarta przestrzeń i powietrze – na których widok nie mógłby uradować się bardziej.

Wokół niego pojawili się jego ludzie, wszyscy poobcierani i krwawiący równie mocno, jak on, wyjeżdżali na zertach ledwie żywi – a jednak wszyscy cali.

Kiedy dowódca podniósł wzrok i spojrzał przed siebie, serce zabiło mu nagle szybciej. Zatrzymał się w miejscu, porażony widokiem. Chłonał wzrokiem okolicę, pozbawiony tchu, i z wolna poczuł jak serce napawa mu poczuciem zwycięstwa, triumfu. Ku niebu pięły się majestatyczne szczyty, tworząc krąg, który mógł być tylko jednym miejscem:

Granią.

Widniała na horyzoncie, strzelista, wspaniała, ogromna, ciągnąca się w dal w obie strony. A powyżej, na jej szczycie, dostrzegł ze zdumieniem tysiące żołnierzy w lśniącej zbroi. Pełnili wartę, błyszcząc orężem w słonecznym świetle.

Znalazł ją. On, on sam, znalazł ją.

Jego ludzie zatrzymali się raptownie tuż przy nim. Widział,

jak oni również podnoszą wzrok w zdumieniu, jak patrzą z otwartymi ustami, myślą to samo, co on: ta chwila przejdzie do historii. Wszyscy oni zostaną uznani za bohaterów, okryją się wiekopomną chwałą w tradycji Imperium.

Dowódca odwrócił się z szerokim uśmiechem na twarzy i zmierzył wzrokiem swych ludzi. Spoglądali na niego tym razem z szacunkiem. Szarpnął na wodze i zawrócił swego zerta, gotowy ponownie przebyć ścianę piasku i nie zatrzymać się, dopóki nie dotrze do bazy Imperium, nie złoży raportu przed Rycerzami Wielkiej Siódemki ze swego osobistego odkrycia. Wiedział, że zaledwie w kilka dni zjadą tu wszystkie siły Imperium, milion ludzi zwali się na to miejsce z zamiarem siania zniszczenia. Przejadą przez piaskową ścianę, zdobędą szczyty Grani, zmiażdżą owych rycerzy i przejmą ostatnie wolne terytorium na obszarze Imperium.

- Żołnierze – rzekł – nadszedł czas naszej chwały. Gotujcie się. Wasze imiona okryją się wieczną sławą.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kendrick, Brandt, Atme, Koldo oraz Ludvig wędrowali Wielkim Pustkowieм ku wschodzącym słońcom pustynnego świtu. Maszerowali piechotą, całą już noc zresztą, z niezachwianym postanowieniem, że uratują młodego Kadena. Szli ponurym rytmem w milczeniu, z dłońmi na orężu, wpatrując się w ziemię i podążając tropem Piechurów. Setki ich śladów prowadziły coraz głębiej i głębiej w opustoszały krajobraz.

Kendrick począł zastanawiać się, czy to w ogóle kiedyś dobiegnie końca. Nie mógł się nadziwić, iż znalazł się z powrotem w tej sytuacji, z powrotem na Pustkowie, a poprzysiągł sobie przecież, że jego noga nigdy więcej tu nie stanie – zwłaszcza na piechotę, bez wierzchowca, bez prowiantu ani jakichkolwiek widoków na powrót. Zawierzili pozostałym rycerzom z Grani, iż powrócą do nich z końmi – lecz w przeciwnym razie kupili bilet w jedną stronę, na wyprawę bez powrotu.

Ale to właśnie znaczyło męstwo i Kendrick dobrze o tym wiedział. Kaden, wspaniała młody wojownik o wielkim sercu, stanął szlachetnie na warcie, śmiało wyruszył na pustynię, by dowieść swego, stojąc na straży, i został porwany przez owe dziczące bestie. Koldo i Ludvig nie mogli odwrócić się od niedoli młodszego brata, bez względu na to, jak nędzne mieli szanse – zaś Kendrickowi, Brandtowi i Atme nie wypadało

odwrócić się od nich wszystkich; poczucie obowiązku i honor nie pozwalały im postąpić inaczej. Ci wspaniali rycerze z Grani zaoferowali im gościnę i względy, kiedy tego najbardziej potrzebowali – i teraz przyszła pora odpłacić za tę przysługę – bez względu na cenę. Śmierć nie miała dla niego większego znaczenia – honor zaś stawiał ponad wszystko.

- Opowiedz mi o Kadenie – powiedział, odwracając się do Kolda, chcąc przerwać monotonię ciszy.

Koldo podniósł wzrok, wyrwany z głębokiego milczenia, i westchnął.

- To jeden z najwspanialszych młodych wojowników, jakich przyjdzie ci kiedykolwiek spotkać – powiedział. – Ma serce większe niż to wskazuje jego wiek. Pragnął być mężczyzną zanim jeszcze stał się chłopcem, chciał dzierżyć miecz zanim był w stanie go udźwignąć.

Pokręcił głową.

- Nie dziwi mnie, że naraża się zbytnio, pierwszy staje do patrolu. Nigdy przed niczym nie ustąpił – zwłaszcza, gdy chodziło o troskę o innych.

Ludvig przytaknął.

- Gdyby porwano kogoś z nas, młodszy braciszek pierwszy ruszyłby z pomocą. Jest najmłodszy i stanowi to, co w nas najlepsze.

Kendrick sam doszedł do takich wniosków już po tym, co ujrzał w trakcie rozmowy z Kadenem. Rozpoznał w nim ducha wojownika, pomimo jego młodego wieku. Kendrick

pojmował, iż wiek nie ma nic wspólnego z byciem wojownikiem: wojownicza natura była obecna, lub nie. Nie było tu miejsca na przekłamanie.

Kontynuowali marsz przez długi czas, popadłszy w miarową ciszę. Słońca zdążyły wspiąć się wysoko na nieboskłon, aż w końcu Brandt odchrząknął.

- Co do tych Pustynnych Piechurów? – spytał Kolda.

Koldo zwrócił się ku niemu, nie zwalniając kroku.

- Banda bestialskich nomadów – odparł. – Więcej w nich zwierzęcia niż człowieka. Ludzie twierdzą, że patrolują obrzeża Piaskowej Ściany.

- Padlinożercy – wtrącił Ludvig. – Znani są z tego, iż zaciągają swe ofiary na pustynię.

- Dokąd? – spytał Atme.

Koldo i Ludvig wymienili złowieszcze spojrzenia.

- Gdziekolwiek zbierają się i odprawiają ten swój rytuał – rozrywają ofiary na strzępy.

Kendrick wzdrygnął się na myśl o Kadenie i losie, jaki go czekał.

- Mamy zatem niewiele czasu – powiedział. – Pobiegniemy?

Wszyscy spojrzeli po sobie. Znali bezkres tego miejsca i wiedzieli, jak długi bieg mają przed sobą – zważywszy do tego na rosnący żar i rynsztunek. Wiedzieli dobrze, ile ryzykują, nie trzymając się wyznaczonego tempa w tym bezwzględny otoczeniu.

Jednakże nie zawahali się; ruszyli truchtem wszyscy razem.

Pobiegli w nicość. Wkrótce ich twarze zrosił pot. Wiedzieli, że jeśli wkrótce nie znajdą Kadena, to pustynia pogrzebie ich wszystkich na wieki.

*

Kendrick sapał w biegu. Drugie słońce sięgnęło zenitu i oślepiało swym blaskiem, dławiło żarem. Mimo to, biegł dalej z innymi, dysząc ciężko i pobrzękując zbroją. Pot lał się po jego twarzy i szczypał w oczy tak dotkliwie, że ledwie cokolwiek widział. Płuca pękały z wysiłku. Nie miał pojęcia, że można aż tak okrutnie łaknąć tchu. Kendrick nie doświadczył jeszcze nigdy niczego przypominającego żar tych słońc, tak intensywnego, sprawiającego wrażenie, że przypalana skóra odłazi od reszty ciała.

Wiedział, że w takim ukropie, w takim tempie daleko nie dotrą; wkrótce wszyscy tutaj pomrą, padną, staną się jedynie pożywieniem dla owadów. I rzeczywiście, biegnąc dalej, usłyszał odległy pisk, podniósł wzrok i dostrzegł krążące sępy. Krążyły nad nimi zresztą od wielu już godzin, zniżając swój lot. To one były tu panami – wiedziały doskonale, kiedy rychła śmierć wisi w powietrzu.

Kendrick zerknął na ślady Piechurów niknące na horyzoncie i nie mógł pojąć, jak byli w stanie pokonać tak dużą odległość w tak krótkim czasie. Modlił się, by Kaden żył jeszcze, by to wszystko nie było na marne. Jednakże, nie potrafił wyzbyć się wrażenia, wbrew sobie, że nigdy do niego nie dotrą. Przypominało to pogoń za śladami niknącymi w oceanie w

trakcie przyływu.

Kendrick rozejrzał się wokół i ujrzał pozostałych pochylonych, ślaniających się raczej niż biegnących, ledwie trzymających się na nogach – a jednak zdeterminowanych równie mocno jak on, by się nie zatrzymać. Wiedział – wszyscy to wiedzieli – iż w chwili, kiedy ustaną, wszyscy polegną.

Kendrick pragnął przerwać ciszę, jednakże był zbyt zmęczony, by rozmawiać z innymi. Przymuszał nogi do biegu, które ciążyły mu już jak milion funtów. Nie śmiał nawet marnować sił, by podnieść wzrok na horyzont, wiedząc, że nic tam nie zobaczy, wiedząc, że jednak pisane mu było tu szcześnie. Spoglądał zatem w dół na ziemię, obserwując trop i zachowując drogocenne siły, jeśli w ogóle jakiekolwiek mu jeszcze zostały.

Usłyszał jakiś dźwięk. Najpierw był przekonany, że to tylko w wyobraźni; aczkolwiek dźwięk ten rozbrzmiał ponownie, w oddali, niczym brzęczenie pszczoł i tym razem zmusił się, by podnieść wzrok. Wiedział, że to głupie, że niczego tam nie zobaczy. Bał się choćby mieć nadzieję.

Jednakże, tym razem, zastany widok sprawił, że serce załomotało mu z podekscytowania. Oto przed nimi, może sto jardów dalej, znajdowało się zgromadzenie Pustynnych Piechurów.

Kendrick dźgnął pozostałych i wszyscy po kolei podnieśli wzrok, wyrwani z odrętwienia. Spojrzeli i doznali wstrząsu. Nadeszła pora stoczyć bój.

Kendrick sięgnął w dół i dobył swego miecza, tak jak i

pozostali. Poczuł znajomy zastrzyk adrenaliny.

Pustynni Piechurzy odwrócili się, zauważyli ich i również przygotowali się do walki. Wrzasnęli i rzucili się na nich.

Kendrick uniósł miecz wysoko i wydał z siebie potężny okrzyk bojowy. Był na reszcie gotowy pozabijać wrogów – lub polec w boju.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gwendolyn przemierzała dostojnym krokiem stolicę Grani wraz z Krohnem u boku i Steffenem podążającym jej tropem. W głowie wirowały jej niezliczone myśli po tym, jak usłyszała słowa Argona. Z jednej strony była uradowana, że wydobrał, był na powrót sobą – jednakże jego brzemienna w skutki przepowiednia rozbrzmiewała w jej umyśle niczym klątwa, niczym dzwon obwieszczający jej rychłą śmierć. Jego złowieszcze, enigmatyczne deklaracje brzmiały tak, jakby nie była jej pisana wspólna przyszłość u boku Thora.

Z trudem powstrzymała łzy. Szła szybko, zmierzając do celu, w stronę wieży. Starła się zapomnieć o jego słowach, nie godziła się z tym, by jej życiem kierowały przepowiednie. Zawsze taka była, od tego zależała jej siła. Przyszłość mogła zostać już spisana, lecz przeczuwała, że można ją zmienić. Przeznaczenie w jej poczuciu można było przekuć. Wystarczyło jedynie pragnąć tego wystarczająco mocno, być gotowym poświęcić odpowiednio dużo – bez względu na cenę.

Nadeszła jedna z takich chwil. Gwen zdecydowanie sprzeciwiała się temu, by Thorgrin i Guwayne od niej odeszli. Odczuwała narastającą determinację. Zamierzała przeciwstawić się swemu przeznaczeniu, bez względu na konsekwencje, zdobyć się na poświęcenie wszystkiego, czego to będzie wymagać. W żadnym wypadku nie zaakceptuje życia, w którym nie ujrzy

Thora ani Guwayne'a już nigdy więcej.

Krohn wydał z siebie zawodzący pomruk, jakby usłyszał jej myśli, i otarł się o jej nogę. Wyrwana z zamyślenia Gwen podniosła wzrok i ujrzała przed sobą wyniosłą wieżę, czerwoną, okrągłą, wyrastającą wysoko w samym sercu stolicy, i wówczas przypomniała sobie o czymś. O kulcie. Złożyła królowi przysięgę, że dostanie się do wieży i spróbuje uratować jego syna i córkę z oków owego kultu, że stanie przed jego przywódcą i wypyta go o starożytne księgi, o tajemnicę w nich ukrytą, a która mogła ocalić Grań przed rozkładem.

Serce załomotało jej w piersi, kiedy zbliżyła się do budowli, nie mogąc doczekać się tego, co nadchodzi. Pragnęła pomóc królowi, oraz Grani, lecz najbardziej zależało jej na tym, by wyruszyć na poszukiwania Thora i Guwayne'a, zanim będzie dla nich za późno. Gdyby tylko miała u swego boku smoka, jak to bywało wcześniej; gdyby tylko Ralibar mógł do niej wrócić i ponieść ją hen w dal, przez cały świat, jak najdalej stąd, z dala od problemów Imperium, z powrotem na drugi kraniec świata, do Thorgrina i Guwayne'a, jeszcze choć jeden raz. Gdyby tylko wszyscy mogli powrócić do Kręgu i wieść życie jak za dawnych czasów.

Wiedziała jednak, że to dziecinne życzenia. Krąg został obrócony wniwecz, i pozostała jej już tylko Grań. Musiała zmierzyć się z obecną rzeczywistością i uczynić wszystko, co w jej siłach, by pomóc ocalić to miejsce.

- Pani, czy pozwolisz, bym towarzyszył ci w wieży?

Gwen obróciła się, usłyszawszy ów głos i wyrwawszy się z otępienia. Ulżyło jej wielce na widok towarzyszącego jej starego druha Steffena. Szedł opiekuńczo obok niej, z dłonią na mieczu, jak zwykle ochoczo roztaczający nad nią swą pieczę. Był najbardziej jej oddanym doradcą, a kiedy cofnęła się pamięcią i dotarło do niej, jak długo już z nią jest, poczuła przyływ wdzięczności.

Kiedy Gwen przystanęła przed zwodzonym mostem wiodącym do wieży, Steffen spojrzał na nią podejrzliwie.

- Nie podoba mi się tu – powiedział.

Położyła dłoń na jego nadgarstku w dodającym otuchy geście.

- Jesteś prawdziwym i lojalnym przyjacielem, Steffenie – odparła. – Wielce cenię sobie twą przyjaźń i oddanie, lecz ten krok muszę zrobić sama. Muszę dowiedzieć się wszystkiego, co zdołam, a twoja obecność wzmoże ich czujność. Poza tym – dodała, gdy usłyszała mruczenie Krohna – będę miała ze sobą Krohna.

Gwen spuściła wzrok, zobaczyła, iż Krohn spogląda na nią wyczekująco, i skinęła głową.

Steffen również przytaknął.

- Zaczekam tutaj na ciebie – powiedział – i jeśli napotkasz wewnątrz jakieś kłopoty, przybędę ci z pomocą.

- Jeśli nie znajdę w wieży tego, czego pragnę się dowiedzieć – odparła – to obawiam się, że nas wszystkich spotka o wiele gorszy los.

Gwen przeszła powoli przez most z Krohnem u nogi, wybijając swymi krokami rytmiczne echo na drewnianych żerdziach, pod którymi pluskała delikatnie woda. Wzdłuż mostu, stojąc na baczność, widniał liczny zastęp mnichów. Stali w milczeniu, w szkarłatnych szatach, ze schowanymi w nich dłońmi, i zamkniętymi oczyma. Byli dziwaczną zgrają strażników, nieuzbrojoną, niezwykle posłuszną, stojąc tu na straży nie wiadomo ile już czasu. Gwen nie mogła wyjść z podziwu dla ich głębokiego oddania i przywiązania do swego przywódcy. Dotarło wówczas do niej, że król miał rację: czcili go jak bóstwo. Zastanawiała się, w co takiego się uwikłała.

Kiedy podeszła bliżej, podniosła wzrok na ogromne, zwieńczone łukiem wejście, majaczące nad nią, zbudowane z wiekowego dębu, przyozdobione rzeźbieniami nieznanych jej symboli. Obserwowała je z podziwem, gdy kilku mnichów podeszło do wrót i otworzyło je przed nią jednym pociągnięciem. Zazgrzytały, ukazując mroczne wnętrza rozjaśnione nieco pochodniami. Poczła powiew chłodnego powietrza przesyconego delikatną wonią kadzidła. Stąpający obok niej Krohn zeszywniał i wydał groźny pomruk. Gwen weszła do środka i usłyszała, jak drzwi zatrzasnęły się za nią.

Ich odgłos poniósł się echem we wnętrzu wieży. Dopiero po jakiejś chwili Gwen opanowała zdenerwowanie. W środku panował mrok. Na mury padało nieco światła od płonących pochodni oraz sączących się przez umieszczone wysoko witraże promieni słońca. Powietrze przesycone było świętością, ciszą,

tak, że odniosła wrażenie, że weszła do kościoła.

Podniosła wzrok i dostrzegła, iż wieża pnie się spiralnie coraz wyżej, a na kolejne piętra wiodą okrężne pochylnie. Nie było żadnych okien, a mury odbijały ledwie słyszalne dźwięki śpiewu. W powietrzu rozchodziła się ciężka woń kadzidła. Przez cały czas to pojawiali się, to znikali kolejni mnisi, odwiedzając komnaty niczym w transie. Niektórzy wymachiwali kadzidłami, inni wznosili śpiewne modły, jeszcze inni zachowywali milczenie, będąc pogrążeni w myślach. Gwen coraz bardziej ciekawił ów kult.

- Czy to mój ojciec cię przysyła? – rozbrzmiał czyjś głos.

Zaskoczona Gwen obróciła się na pięcie i ujrzała stojącego kilka stóp dalej mężczyznę w długiej, szkarłatnej szacie. Uśmiechał się do niej pogodnie. Ledwie mogła uwierzyć w to, jak bardzo przypomina króla, swego ojca.

- Wiedziałem, że przyśle kogoś prędzej czy później – powiedział Kristof. – Jego staraniom, by sprowadzić mnie z powrotem na łono rodziny nie ma końca. Tędy, proszę – obrócił się do niej bokiem i wskazał drogę gestem dłoni.

Gwen ruszyła za nim kamiennym, zwieńczonym łukiem korytarzem, wspinając się po rampie stopniowo, coraz wyżej po okręgu, na wyższe kondygnacje wieży. Dała się zaskoczyć; spodziewała się jakiegoś oszalałego mnicha, religijnego fanatyka, a tymczasem zastała tu osobę życzliwą i dobroduszną, i najwyraźniej przy zdrowych zmysłach. Kristof nie przypominał zagubionego, szalonego człowieka, jakim opisywał go ojciec.

- Twój ojciec dopytuje o ciebie – rzekła w końcu, przerywając ciszę po tym, jak wyminęli mnicha schodzącego po pochylni ze wzrokiem wlepionym w podłogę. – Chce, bym sprowadziła cię do domu.

Kristof pokręcił głową.

- Rzecz w tym, iż właśnie taki jest – powiedział. – Mój ojciec sądzi, że znalazł prawdziwy i jedyny dom na świecie. Ja jednak wiem coś więcej – dodał, mierząc ją wzrokiem. – Na tym świecie jest wiele prawdziwych domów.

Ruszyli dalej, a on westchnął. Gwen zamierzała dać mu trochę czasu, nie naciskać na niego zbyt mocno.

- Mój ojciec nigdy nie zaakceptuje tego, kim jestem – dodał wreszcie. – Nigdy nie uzna. Tkwi w starych, ograniczonych przesądach – i chce mi je narzucić. Lecz ja nie jestem nim – i on tego nigdy nie zaakceptuje.

- Nie tęsknisz za rodziną? – spytała Gwen, zdumiona faktem, iż był gotowy spędzić swe życie w tej wieży.

- Owszem – odparł szczerze, wprowadzając ją w zdumienie. – I to bardzo. Rodzina jest dla mnie najważniejsza – lecz me duchowe powołanie znaczy jeszcze więcej. Tu jest teraz mój dom – powiedział, po czym skręcił w korytarz, a Gwen podążyła za nim. – Służę teraz Eldofowi. Jest moim słońcem. Gdybyś go знаła – powiedział, odwróciwszy się i spojrzawszy na nią tak przenikliwie, iż przeraził ją – twoim stałby się również.

Gwen odwróciła wzrok. Nie spodobał jej się jego fanatyczny wyraz oczu.

- Służę jedynie sobie – odparła.

Uśmiechnął się do niej.

- Być może w tym leży źródło wszystkich twych ziemskich trosk – odrzekł. – Nikt nie może żyć w świecie, nie służąc komuś innemu. I ty również służysz komuś, właśnie w tej chwili.

Gwen spojrzała na niego podejrzliwie.

- Jak to? – spytała.

- Nawet jeśli sądzisz, iż jesteś oddana tylko sobie – odparł – padasz ofiarą oszustwa. Osobą, której służysz nie jesteś ty, ale raczej człowiek, którego ukształtowali twoi rodziciele. To im służysz – i ich wszystkim starym przekonaniom, przekazany im przez ich rodziców. Kiedy będziesz na tyle śmiała, by zarzucić przekonania swych rodziców i zacząć służyć sobie?

Gwen zmarszczyła brwi. Nie kupowała jego filozofii.

- I w zamian czyje przejąć przekonania? – spytała. – Eldofa? Pokręcił głową.

- Eldof jest zaledwie przewodnikiem – odrzekł. – Pomaga odrzucić to, kim się było. Pomaga odnaleźć swe prawdziwe oblicze, wszystko to, czym możesz się stać. I temu należy służyć. To tego człowieka nigdy nie poznasz, jeśli nie uwolnisz swego fałszywego ja. To czyni Eldof: uwalnia nas wszystkich.

Gwendolyn spojrzała w jego błyszczące oczy i dostrzegła wielkie oddanie – i to jego poświęcenie przeraziło ją. Natychmiast pojęła, że postradał rozum, że nigdy nie opuści tego miejsca.

Budziła wręcz grozę, owa sieć, którą Eldof omotał wszystkich

tych ludzi i uwięził tutaj – jakaś poślednia filozofia, której logika miała tylko sobie znane podstawy. Gwen nie miała ochoty słuchać tego więcej; była zdecydowana unikać owej sieci za wszelką cenę.

Skreśliła i poszła dalej, otrząsając się z tych myśli ze wzdrygnięciem ramion, wspinając się po pochylni wokół wewnętrznych murów wieży. Stopniowo wspinała się coraz wyżej i wyżej, gdzie prowadziła ją ta rampa. Kristof podążał za nią w milczeniu.

- Nie przyszedłem tu kwestionować zalet twego kultu – powiedziała. – Nie potrafię przekonać cię, byś wrócił do twego ojca. Złożyłam obietnicę, iż to uczynię i tak się stało. Jeśli nie cenisz swej rodziny, ja nie nauczę cię tego.

Kristof spojrzał na nią z poważną miną.

- I sądzisz, że mój ojciec ceni sobie rodzinę? – spytał.

- Wielce – odparła. – Przynajmniej z tego, co widać.

Kristof pokręcił głową.

- Pozwól, że coś ci pokażę.

Ujął ją za łokieć i poprowadził kolejnym korytarzem w lewo, potem w górę po licznych stopniach, i zatrzymał się przed grubymi, dębowymi podwojami. Spojrzał na nią w znaczący sposób, po czym pociągnął i otworzył je, ukazując jej rząd żelaznych krat.

Gwen stanęła z zaciekawieniem, z podenerwowaniem spoglądając przed siebie na to, co tak pragnął, by zobaczyła przez kraty. Dostrzegła ze zgrozą młodą, piękną dziewczynę, siedzącą

samotnie w celi, wyglądającą przez okno, z długimi włosami zakrywającymi jej twarz. Choć oczy miała szeroko otwarte, zdawała się nie zauważać ich obecności.

- Oto w jaki sposób mój ojciec dba o rodzinę – powiedział Kristof.

Gwen spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Swoją rodzinę? – spytała zdumiona.

Kristof przytaknął.

- Kathryn. Jego córka. Ta, którą ukrywa przed światem. Została tutaj przeniesiona do tej celi. Dlaczego? Gdyż jest dotknięta. Gdyż nie jest idealna, taka jak on. Bo wstyd mu z jej przyczyny.

Gwen zamilkła. Poczowała ucisk w żołądku na widok owej dziewczyny, tak żałosnej, iż miała ochotę jej jakoś pomóc. Zaczęła zastanawiać się nad osobą króla, oraz nad tym, czy w słowach Kristofa kryje się prawda.

- Eldof ceni sobie rodzinę – kontynuował Kristof. – Nigdy nie porzuciłby nikogo ze swoich. Ceni sobie nasze prawdziwe oblicze. Nikogo tu nie spotyka odmowa z powodu wstydu. To skaza na majestacie dumy. Ci zaś, którzy zostali dotknięci, znajdują się najbliżej swego prawdziwego ja.

Kristof westchnął.

- Kiedy spotkasz Eldofa – powiedział – pojmiesz to. Nie ma drugiej takiej osoby, i nigdy nie będzie.

Gwen dostrzegła fanatyzm w jego oczach, widziała, jak pograżył się tu w tym miejscu, w tym kulcie. Dotarło do

niej, iż zaszedł zbyt daleko, by kiedykolwiek powrócić do króla. Obejrzała się i zobaczyła siedzącą nieopodal córkę króla. Poczuła przytłaczający smutek, żal z powodu jej położenia, tego miejsca, z powodu ich rozbitej rodziny. Jej idealny obraz Grani, idealnej rodziny królewskiej popadał w ruinę. To miejsce, jak każde inne, miało swój własny mroczny punkt newralgiczny. Toczyła się tu cicha bitwa, bój przekonań.

I była to bitwa, której Gwen nie mogła wygrać. Dobrze o tym wiedziała. Nie miała zresztą na to czasu. Pomyślała o własnej opuszczonej rodzinie i poczuła nagłą potrzebę pospieszenia na ratunek swemu mężowi i synowi. W głowie kręciło się jej od tego miejsca, od ostrej woni kadzidła w powietrzu i dezorientującego braku okien. Pragnęła uzyskać to, po co tu przybyła i odejść. Starła się przypomnieć sobie, po co tu tak naprawdę przyszła – i wówczas dotarło to do niej: by ocalić Grań, tak, jak przysięgła królowi.

- Twój ojciec żywi przekonanie, iż ta wieża skrywa tajemnicę – powiedziała Gwen, przechodząc do sedna sprawy – tajemnicę, która może ocalić Grań, uratować wasz lud.

Kristof uśmiechnął się i skrzyżował palce.

- Mój ojciec i jego przesady – odparł.

Gwen zmarszczyła brwi.

- Twierdzisz, że to nieprawda? – spytała. – Że nie istnieje starożytna księga?

Zawahał się, odwrócił wzrok, po czym westchnął i zamilkł na długą chwilę. W końcu, przemówił.

- Co zostanie ci ujawnione i kiedy – powiedział – nie leży w mej gestii. Tylko Eldof może udzielić ci odpowiedzi.

Gwen poczuła narastające zniecierpliwienie.

- Możesz zaprowadzić mnie do niego?

Kristof uśmiechnął się, odwrócił i ruszył dalej korytarzem.

- Zapewne – powiedział z oddali – niczym ćmę do płomienia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Stara stała na niepewnej kładce, starając się nie zerkać w dół. Wznosiła się coraz wyżej ku niebu, w miarę kolejnych pociągnięć liny, widząc roztaczający się przed nią bezkresny widok. Platforma unosiła się coraz wyżej krańca Grani, Stara zaś stała z łomoczącym sercem, w przebraniu, z nasuniętym głęboko na głowę kapturem, czując jak pot rosi jej ciało wraz ze wzrastającym żarem pustyni. Tu, wysoko, panował zaduch, a przecież dzień zaledwie wstał. Wszędzie wokół rozlegały się wszechobecne odgłosy lin i bloków, skrzypiących kołowrotów wprawianych w ruch przez ciągnących nieugięcie za liny żołnierzy. Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy z tego, kim była.

Wkrótce wszystko ustało i zaległa cisza. Znalazła się na szczycie Grani – i jedynym dźwiękiem, jaki słyszała, było wycie wiatru. Miała przed sobą oszałamiający widok i odnosiła wrażenie, że stoi na szczycie całego świata.

Ów widok przywołał wspomnienia. Przypomniała sobie chwilę, kiedy przybyła do Grani, tuż po przebyciu Wielkiego Pustkowia, wraz z Gwendolyn, Kendrickiem i wszystkimi pozostałymi, w większości ledwie żywymi. Wiedziała, że poszczęściło się jej, iż przeżyła i na początku widok Grani był dla niej wspaniałym darem, zbawieniem.

Mimo to, oto była tutaj gotowa opuścić tę krainę, zejść po

drugiej, odległej stronie grani, na powrót skierować kroki ku Wielkiemu Pustkowiu, ponownie podążyć ku czemuś, co mogło zakończyć się pewną śmiercią. Stojący obok niej wierzchowiec bryknął, wydobywając podkowami głuchy odgłos z platformy. Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po grzywie w dodającym otuchy geście. Ten koń będzie jej zbawieniem, jej biletem na wyjazd z tego miejsca; sprawi, że jej przeprawa przez Wielkie Pustkowie odbędzie się według zupełnie innego scenariusza, niż poprzednio.

- Nie pamiętam, by dowódca wydał jakieś rozkazy względem tej wizyty – dobiegł ją władczy głos żołnierza.

Stara stała nieruchomo, wiedząc, że mowa o niej.

- Zatem omówię to z twym dowódcą – i moim kuzynem, królem – odparł Fithe śmiało, stojąc obok niej i przemawiając przekonującym tonem.

Stara wiedziała, że zwodzi, wiedziała też, jak duże ryzyko podejmuje dla niej – i była mu z tego powodu dożgonnie wdzięczna. Fithe zaskoczył ją tym, iż dotrzymał słowa, iż uczyni wszystko, co w jego mocy, tak jak obiecał, by pomóc jej wydostać się z Grani, dać jej szansę odnaleźć Reece’a, mężczyznę, którego kocha.

Reece. Na myśl o nim serce jej krwawiło. Zamierzała opuścić to miejsce, jakkolwiek bezpieczne, przebyć Wielkie Pustkowie, przebyć oceany, cały świat, tylko dla tej jednej szansy, by powiedzieć mu, jak wielką darzy go miłością.

I choć odnosiła się z niechęcią do myśli, iż naraża Fithe’a

na niebezpieczeństwo, musiała to uczynić. Musiała zaryzykować wszystko, by znaleźć tego, którego pokochała. Nie potrafiła siedzieć bezpiecznie w Grani, bez względu na jej wspaniałości, bogactwo i bezpieczeństwo, dopóki nie będzie u boku Reece'a.

Żelazne drzwi platformy otworzyły się z jękiem i Fithe chwycił ją za ramię, towarzysząc jej na zewnątrz. Jej przebranie, nisko opuszczony kaptur, świetnie spełniało rolę. Zeszli z drewnianej platformy na twardy, skalisty płaskowyż na szczycie Grani. Zerwał się wyjący wiatr, na tyle silny, że niemal straciła równowagę. Przytrzymała się końskiej grzywy. Podniosła wzrok, ujrzała rozległe przestworza i serce zatłukło się w jej piersi na myśl o szaleństwie, jakiego zamierzała się dopuścić.

Trzymaj głowę nisko i opuść kaptur – wyszeptał Fithe natarczywie. – Jeśli cię zobaczą, jeśli zobaczą, że jesteś dziewczyną, pojmą, iż nie wolno ci tu być. Odeślą cię z powrotem. Zaczekaj, aż dotrzemy na drugi kraniec grani. Oczekuje tam na ciebie druga kładka, która zwiezie cię na dół po drugiej stronie. – Zabierze ciebie – nikogo innego.

Oddech przyspieszył jej, kiedy ruszyli przez skalny płaskowyż, mijając rycerzy szybkim truchtem. Stara trzymała głowę nisko, unikając wścibskich spojrzeń żołnierzy.

W końcu przystanęli i wyszeptał do niej:

- W porządku. Spójrz.

Stara zsunęła kaptur ze sklejonych potem włosów i w tej samej chwili poraził ją niesamowity widok: dwa ogromne, piękne słońca, wciąż zaszłe czerwienią, unosiły się w majestacie

cudownego pustynnego poranka, na tle nieba pokrytego milionem odcieni różu i fioletu. Odniosła wrażenie, że oto nastał świt całego świata.

Kiedy rozejrzała się dalej, ujrzała rozległe Wielkie Pustkowia, które zdawało się rozciągać po krańce ziemi. W oddali majaczyła wściekle kotłująca się Ściana Piasku. Wówczas, wbrew sobie, spojrzała prosto w dół. Zatoczyła się w lęku wysokości i natychmiast pożałowała, iż to zrobiła.

W dole ujrzała stromy spadek, ciągnący się hen ku samej podstawie grani. A przed sobą dostrzegła samotną platformę, pustą, czekającą już na nią.

Stara odwróciła się i podniosła wzrok na Fithe'a, który spoglądał na nią znacząco.

- Jesteś pewna? – spytał cicho. W jego oczach zauważyła obawę o jej los.

Poczuła, jak nagle owładnął ją lęk, lecz wówczas przyszedł jej na myśl Reece i bez chwili wahania skinęła głową.

Fithe kiwnął głową życzliwie.

- Dziękuję – powiedziała. – Nie wiem, jak ci się kiedykolwiek odwdzięczę.

Uśmiechnął się do niej.

- Odszukaj mężczyznę, którego kochasz – odparł. – Jeśli ja nie mogę nim być, przynajmniej niech będzie to kto inny.

Ujął jej dłoń, pocałował ją, złożył ukłon, odwrócił się i odszedł. Stara obserwowała go z sercem przepełnionym wdzięcznością. Gdyby nie darzyła Reece'a tak wielką miłością,

być może on byłby tym, którego by pokochała.

Odwróciła się, przygotowała, przytrzymała grzywę wierzchowca i postawiła pierwszy, brzemienny w skutki krok na platformie. Starła się nie zerkać na Wielkie Pustkowie, nie myśleć o podróży, która ją czeka, a która niemal na pewno oznaczała jej śmierć. Lecz uczyniła to.

Liny zaskrzypiały, podłoga zakołysała się i żołnierze poczęli luzować liny, stopa za stopą. Ruszyła w dół, samotnie, ku nicości.

Reece, pomyślała, mogę umrzeć. Lecz dla ciebie pokonam cały świat.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Erec stał na dziobie okrętu wraz z Alistair i Stromem u boku. Spoglądał w dół na kłębiące się wody imperialnej rzeki. Obserwował wartki nurt, który rozgałęział się i unosił okręt w lewo, z dala od kanału, który powiodłby ich do Volusii, do Gwendolyn i pozostałych – i poczuł się rozdarty. Oczywiście, pragnął uratować Gwendolyn; jednakże musiał też spełnić świętą przysięgę złożoną uwolnionym mieszkańcom wioski, iż wyzwoli pobliską osadę i zmiecie z powierzchni ziemi stacjonujący nieopodal garnizon Imperium. Wszak, jeśli tego nie uczyni, wkrótce imperialni żołnierze zabiją wyzwolonych ludzi i wszelki trud Ereka spełźnie na niczym. Wioska na powrót przejdzie w ręce Imperium.

Podniósł wzrok i zlustrował horyzont. Doskonale uzmysławiał sobie fakt, iż z każdą mijającą chwilą, każdy powiew wiatru, czy uderzenie wiosła oddalały ich od wypełnienia zadania na rzecz czegoś bardziej honorowego i właściwego. Dotarło do niego, że czasami misja nie jest taka, za jaką się ją uważa. Czasami zadanie podlega niekończącym się zmianom; czasami podróż wiodąca poboczem głównego szlaku przeistacza się ostatecznie w rzeczywistą misję.

Jednakowoż, Erec powziął postanowienie, by jak najszybciej rozgromić imperialny garnizon i skierować się do Volusii, ocalić Gwendolyn zanim będzie za późno.

- Panie! – ktoś wrzasnął.

Erec podniósł wzrok i dostrzegł jednego ze swych żołnierzy, tkwiącego wysoko na maszcie i wskazującego na horyzont. Odwrócił się, by zobaczyć, co to. Okręt wypłynął poza zakole, nurt przyspieszył znacznie i serce zabiło mu szybciej na widok fortu Imperium rojącego się od żołnierzy. Położona na brzegu rzeki ponura, kanciasta budowla zbudowana była z kamienia i osadzona nisko przy ziemi. Wszędzie wokół stali imperialni nadzorcy – żaden jednak nie obserwował rzeki. Zamiast tego, spoglądali na niewolniczą osadę poniżej, w której tłoczyli się niewolnicy smagani batami i kijami imperialnego ciemiężcy. Żołnierze chłostali ich bezlitośnie, zadawali tortury na ulicach, skazując na katorżniczą pracę, podczas gdy stojący wyżej żołnierze spoglądali w dół i śmiali się rozbawieni tą sceną.

Erec spałował na twarzy z oburzenia, zawrzał na widok całej tej niesprawiedliwości. Poczuł, iż słusznie skierował swych ludzi w tę część rzeki, był zdeterminowany, by naprawić wyrządzone szkody i zmusić ich, by zapłacili za swe przewinienia. Mogła to być zaledwie kropla w morzu tyranii, jaką było Imperium, a jednak należało zawsze mieć na uwadze cenę, jaką wolność miała choćby dla garstki ludzi.

Erec ujrzał brzegi rzeki usiane statkami Imperium, strzeżonymi przez wartowników niejako od niechcienia. Nikt nie spodziewał się ataku. Oczywiście, że nie: w Imperium nie istniała żadna wroga siła, ani taka, jakiej armia Imperium mogłaby się lękać.

Żadna, znaczy się, oprócz Ereka.

Erec wiedział, że choć liczebnie nie dorównuje wrogowi, wciąż może liczyć na element zaskoczenia. Jeśli uderzą co żywo, być może zdołają ich wszystkich rozgromić.

Erec odwrócił się w stronę swych ludzi i ujrzał stojącego nieopodal Stroma. Gorliwie czekał na jego rozkazy.

- Przejmij dowodzenie na okręcie obok – rozkazał swemu młodszemu bratu Erec – i ledwie wydobył z siebie te słowa, jego brat ruszył do dzieła. Przebiegł przez pokład, zeskoczył z relingu na płynący obok okręt i chyżo skierował się ku jego dziobowi, gdzie przejął dowodzenie.

Erec zwrócił się ku żołnierzom tłoczącym się wokół niego na okręcie, czekającym na jego rozkazy.

- Nie chcę, by nas zauważyli – powiedział. – Musimy dostać się jak najbliżej. Łucznicy – przygotować się! – krzyknął. – Pozostali, chwytać włócznie i kryć się!

Żołnierze zajęli pozycje, kucając nisko wzdłuż całego relingu. Liczne zastępy jego ludzi ustawiły się w linii, dzierżąc włócznie i łuki, wszyscy świetnie zdyscyplinowani, cierpliwie oczekując na jego rozkaz. Nurt przyspieszył jeszcze bardziej. Erec zauważył zbliżający się coraz szybciej brzeg i siły Imperium i poczuł znajomy żar w żyłach: w powietrzu zawisła bitwa.

Zbliżali się coraz bardziej i bardziej, zostało zaledwie sto jardów. Serce Ereka łomotało jak oszalałe. Miał nadzieję, że nie zostaną wykryci, czuł zniecierpliwienie wszystkich swych ludzi czekających, by zaatakować. Musieli tylko wejść w zasięg.

Wiedział, że każdy plusk wody, każda przebyta stopa były bezcenne. Mieli tylko jedną szansę, by skutecznie posłużyć się włóczniami i łukami, i nie mogli chybić.

No dalej, pomyślał. Jeszcze tylko trochę.

Nagle mina mu zrzedła, kiedy jeden z żołnierzy odwrócił się niby od niechcienia, zlustrował wzrokiem wodę – i, skonsternowany, zmrużył oczy. Za chwilę ich zauważy – o wiele za wcześnie. Nie byli jeszcze w zasięgu.

Stojąca obok Ereka Alistair dostrzegła to również. Zanim Erec zdolał wydać rozkaz do zbyt wczesnego ataku, wstała nagle i z pogodnym, pewnym siebie wyrazem twarzy uniosła prawą dłoń. Pojawiła się w niej żółta kula. Alistair wzięła zamach i cisnęła ją przed siebie.

Erec patrzył ze zdumieniem, jak kula światła płynie w powietrzu powyżej i opada na nich niczym tęcza. Wkrótce pojawiła się mgła i zasłoniła ich, ukrywając przed oczyma Imperium.

Żołnierz Imperium spoglądał teraz na mgłę, zdezorientowany, nie dostrzegając niczego. Erec odwrócił się i uśmiechnął do Alistair, wiedząc, że kolejny raz bez niej byliby zgubieni.

Flotylla Ereka płynęła dalej, ukryta idealnie za mgielną zasłoną. Erec zaś obejrzał się na Alistair z miną pełną wdzięczności.

- Twoja dłoń potężniejsza jest od mego miecza, pani – powiedział i ukłonił się.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Jednak to ty musisz wygrać tę bitwę – odparła.

Wiatr poniosł ich bliżej. Ukryci w zalegającej wciąż mgłę żołnierze Ereka rwali się do wypuszczenia strzał, do rzucenia włóczni. Erec rozumiał to; włócznia w jego dłoni również wyrwała się do boju.

- Jeszcze nie – wyszeptał do swych ludzi.

Kiedy wyłonili się z mgły, Erec dostrzegł zarysy imperialnych żołnierzy. Stali na blankach, a ich umięśnione torsy błyszczały na słońcu. Ich towarzysze wznosili wysoko baty i chłostali mieszkańców wioski. Odgłos razów słyszany był nawet z takiej odległości. Pozostali żołnierze spoglądali na rzekę, najwyraźniej przywołani przez pełniącego wartę strażnika. Wpatrywali się podejrzliwie w obłoki, jakby coś podejrzewali.

Erec był już tak blisko, aż słyszał, jak serce bije mu w uszach. Jego okręty podpłynęły na odległość trzydziestu jardów. Mgła Alistair zaczęła przersedzać się. Wiedział, że nadeszła pora.

- Łucznicy! – rozkazał. – Strzelajcie!

Łucznicy, na całej rozciągłości jego flotylli, podnieśli się, obrali cel i wypuścili strzały.

Pod niebo wzbił się odgłos wypuszczanych z cięciw pocisków, strzał przeszywających powietrze – i niebo pociemniało od chmury śmiertelnych grotów szybujących wysoko po łuku i opadających z powrotem ku ziemi, ku imperialnemu brzegu.

Chwilę później w powietrzu rozbrzmiały krzyki żołnierzy stacjonujących licznie w forcie zaspanych chmurą śmiertelnych strzał. Nastąpiła bitwa.

Wszędzie rozbrzmiały rogi. Cały garnizon został postawiony na nogi, żołnierze stanęli do obrony fortu.

- WŁÓCZNIE! – huknął Erec.

Strom pierwszy wstał i cisnął swą włócznię, piękną, srebrną, połyskującą w powietrzu, która pomknęła z zawrotną prędkością, ze świstem i przeszła serce zdumionego żołnierza Imperium.

Erec rzucił swoją w ślad za nim i jego złota włócznia pozbawiła życia imperialnego dowódcę znajdującego się w odległej części fortu. Dołączyły do niego szeregi jego ludzi z całej flotylli, ciskając włóczniami i powalając zaskoczonych żołnierzy Imperium, którzy ledwie zdążyli uformować szyk.

Padły całe ich tuziny. Erec pojął, iż pierwsza salwa zebrała pożądane żniwo. Przy życiu pozostały jednak setki innych żołnierzy. Kiedy okręt Ereka zatrzymał się, ostro wbijając się w brzeg, nadszedł czas na walkę wręcz.

- DO ATAKU! – wrzasnął.

Erec dobył miecza, wskoczył na reling i zeskoczył. Przeleciał w powietrzu dobre piętnaście stóp zanim wylądował na piaszczystym brzegu Imperium. Jego ludzie podążyli w ślad za nim, zeskakując wszędzie dokoła w sile, ruszając natychmiast do ataku, unikając strzał i włóczni Imperium. Wychynęli z oparów mgły i popędzili po piasku na imperialny fort. Żołnierze Imperium przegrupowali się i również ruszyli im na spotkanie.

Erec zebrał się w sobie na widok przysadzystego żołnierza Imperium, który natarł wprost na niego z wrzaskiem, wznosząc

topór i machając nim z ukosa w kierunku głowy Ereka. Erec wykonał unik, dźgnął go w brzuch i pobiegł dalej. Obudził się jego bitewny instynkt. Erec wbił miecz w serce kolejnego żołnierza, zszedł z drogi nadlatującego ostrza topora, obrócił się na pięcie i ciął przeciwnika po żebrach. Kolejny żołnierz zaatakował go od tyłu. Nie odwracając się, zdzielił go łokciem w nerkę i powalił na kolana.

Erec popędził przez zastępy żołnierzy, rychło i mocarnie, jak nikt inny na polu bitwy. Prowadził swych ludzi jak jeden mąż i wycinał żołnierzy Imperium, wyrabując sobie drogę do fortu. Rozgorzała zaciepła walka wręcz. Jednakże, imperialni żołnierze przewyższali ich wzrostem niemal dwukrotnie i stawiali brutalny opór. Serce pękało Erekowi na widok wielu jego ludzi poległych już dookoła.

Jednakże Erec był zdeterminowany. Poruszał się błyskawicznie, a wraz ze Stromem u swego boku zdołał wyprowadzać przeciwnika w pole. Przedzierał się przez plażę niczym demon uwolniony z piekieł.

Wkrótce zadanie zostało wykonane. Piaszczysty brzeg zaległ w bezruchu. Zbroczona krwią plaża ścieliła się gęsto trupem, w większości żołnierzy Imperium. Zbyt wiele jednak ciał należało do jego ludzi.

Przepełniony wściekłością Erec zaatakował fort, w którym wciąż roilo się od żołnierzy. Wbiegł na kamienne schody wzdłuż jego murów, a za nim jego ludzie, i napotkał tam żołnierza zbiegającego właśnie ku niemu. Dźgnął go w serce, tuż przed

tym, jak ten zdołał zamachnąć się dwuręcznym toporem na jego głowę. Erec odsunął się i żołnierz, martwy już, stoczył się w dół obok niego. Pojawił się kolejny żołnierz. Ciął Ereka zanim ten zdążył zareagować – wówczas jednak wszedł mu w drogę Strom i z potężnym szczękiem oręża oraz deszczem iskier zablokował uderzenie zanim dosięgło jego brata. Potem uderzył go rękojeścią miecza i zwałił z krawędzi, i żołnierz poleciał w dół z wrzaskiem, na spotkanie śmierci.

Erec kontynuował natarcie, pokonując po cztery stopnie naraz, aż dotarł na górną kondygnację kamiennego fortu. Pozostali przy życiu żołnierze Imperium spoglądali na niego ze strachem, widząc swych martwych braci oraz ludzi Ereka wbiegających na mury. Na ich widok rzucili się do ucieczki. Popędzili ku odległej części fortu, na wiejskie uliczki, gdzie czekała na nich niespodzianka: ośmieleni zajściem mieszkańcy osady. Ich pełne obawy spojrzenia zastąpił teraz wyraz czystej wściekłości. Powstali jak jeden mąż, zwrócili się przeciw imperialnemu ciemieżcy, wyrwali baty z rąk żołnierzy i jęli chłostać umykających w przeciwną stronę gnębicieli.

Imperialni żołnierze nie spodziewali się tego i jeden po drugim wpadali pod niewolnicze cięgi. Niewolnicy zaś siekli ich dalej, leżących na ziemi, raz po raz, aż w końcu żołnierze znieruchomieli. Sprawiedliwości stało się zadość.

Erec stanął na szczycie fortu w otoczeniu swych ludzi i, dysząc ciężko, podsumował w milczeniu bilans stoczonej bitwy. Stojącym poniżej mieszkańcom wioski zajęło chwilę

zorientowanie się, co właśnie zaszło. Wkrótce jednak to do nich dotarło.

Jeden po drugim wznieśli okrzyki radości. Po chwili pod niebo wzbił się narastający z każdą chwilą wiwat, a na twarzach ludzi pojawił się wyraz czystego upojenia. Wznosili okrzyki radości z odzyskanej wolności. A to, w przekonaniu Ereka, sprawiło, że jego cały trud wart był zachodu. Wiedział, iż właśnie to oznacza cenę męstwa i zwycięstwa.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Godfrey siedział na kamiennej podłodze podziemnej komnaty w pałacu Silis. Obok niego zasiadali Akorth, Fulton, Ario, Merek oraz Dray u jego nogi. Silis i jej ludzie siedzieli naprzeciw. Wszyscy spoczywali ponuro ze zwieszonymi głowami, rękoma założonymi za kolanami, wiedząc, że czyha na nich śmierć. Komnata trzęsła się od przebiegających powyżej wojennych działań, inwazji na Volusię. Ich uszu dobiegały też odgłosy plądrowania miasta. Wszyscy siedzieli i czekali, podczas gdy Rycerze Siódemki rozszarpywali Volusię na strzępy.

Godfrey pociągnął kolejny długi łyk wina ze swego bukłaka, ostatniego, jaki ostał się w mieście, starając się uśmierzyć ból, zaradzić przeświadczeniu o bliskiej śmierci, jaka czekała go z rąk Imperium. Spojrzał na stopy, zastanawiając się, jak do tego doszło. Jeszcze kilka księżyców temu przebywał bezpiecznie w Kręgu, przepijając swe życie, a jego jedynym zmartwieniem był wybór, którą to gospodę i który zamtuz odwiedzić danego wieczoru. Tymczasem był teraz tu, przebywszy morze, na ziemiach Imperium, uwięziony pod miastem obróconym w ruinę, odgradziwszy się od niego we własnej trumnie.

W głowie mu huczało. Próbował oczyścić umysł, skoncentrować się. Wyczuł, co myślą przyjaciele, ujrzał to w pogardzie wyzierającej z ich gniewnych spojrzeń: nie powinni byli go posłuchać; mogli uciec, kiedy nadarzyła się okazja.

Gdyby nie zawrócili po Silis, dotarliby do portu, zaokrętowali się i byli teraz daleko od Volusii.

Godfrey próbował czerpać pocieszenie z faktu, iż przynajmniej spłacił przysługę i ocalił tej kobiecie życie. Gdyby nie zdołał dotrzeć do niej na czas i ostrzec, z pewnością byłaby teraz tam u góry, dawno martwa. To musiało coś znaczyć, nawet jeśli było do niego niepodobne.

- Co teraz? – spytał Akorth.

Godfrey odwrócił się i zobaczył, że ten spogląda na niego oskarżycielskim wzrokiem, wymawiając na głos pytanie, które najwyraźniej gnębiło ich wszystkich.

Godfrey rozejrzał się i zlustrował wzrokiem niewielką, mroczną komnatę, migocące pochodnie, które wypaliły się niemal do końca. Ich nędzne zapasy i bukłak spoczywające w kącie były wszystkim, co mieli. Przypominało to czuwanie przy łożu śmierci. Wciąż słyszał odgłosy wojennej zawieruchy powyżej, pomimo grubych murów, i zastanawiał się, jak długo wytrzymają. Godziny? Dni? Ile czasu musi upłynąć, zanim Rycerze Siódemki opanują Volusię? Czy potem odejdą?

- Nie przybyli tu po nas – zaobserwował Godfrey. – To Imperium walczy przeciw Imperium. Prowadzi wojnę z Volusią. Nie mamy z nimi zatargu.

Silis pokręciła głową.

- Zajmą miasto – powiedziała złowieszczo. Jej silny głos przeciął zaległą ciszę. – Rycerze Siódemki nigdy się nie wycofują.

Wszyscy zamilkli.

- Jak długo zatem zdołamy tu przeżyć? – spytał Merek.

Silis pokręciła głową, przyglądając się zapasom.

- Tydzień, może – odparła.

Wtem rozległo się gdzieś powyżej głośnie dudnienie i Godfrey wzdrygnął się, poczuwszy, jak zadrżała pod nim podłoga.

Silis skoczyła na nogi. Poruszona, zaczęła przemierzać komnatę, przyglądając się bacznie stropowi, przez który posypał się na nich pył. Brzmiało to jakby zeszła na nich lawina. Silis przyglądała się temu, jak przystało na zatroskaną właścicielkę domu.

- Naruszyli świętość mego domu – powiedziała bardziej do siebie niż do nich.

Godfrey dostrzegł na jej twarzy wyraz ubolewania i rozpoznał go. Tak wyglądał ktoś, kto stracił wszystko.

Odwróciła się i spojrzała na Godfrefa z wdzięcznością.

- Byłabym tam teraz, gdybyś się nie zjawił. Ocaliłeś nam życie.

Godfrey westchnął.

- I co z tego? – spytał rozeźlony. – Na co to się zdało? Byśmy wszyscy pomarli tu, na dole?

Silis wyglądała na załamana.

- Jeśli tu pozostaniemy – spytał Merek – to wszystkich nas czeka śmierć?

Silis skierowała się ku niemu i skinęła smutno głową.

- Tak – powiedziała beznamiętnie. – Nie dziś i nie jutro, lecz

za kilka dni owszem. Nie mogą tu zejść – a my nie możemy wyjść na zewnątrz. Wkrótce nasze zapasy się skończą.

I co wtedy? – spytał Ario, odwracając się do niej twarzą. – Pragniesz tu pomrzeć? Ja w każdym razie nie.

Silis jęła przemierzać komnatę w tę i z powrotem, ze zmarszczonym czołem, i Godfrey zauważył, że kobieta namyśla się długo i intensywnie.

Po czym, w końcu, przystanęła.

- Jest jedna możliwość – powiedziała. – To ryzykowne. Ale może się udać.

Odwróciła się i stanęła przodem do nich. Godfrey wstrzymał oddech, powodowany nadzieją i oczekiwaniem.

- W czasach mego ojca, pod zamkiem istniało podziemne przejście – rzekła. – Prowadziło między murami zamku. Moglibyśmy je odszukać, jeśli wciąż istnieje i odejść stąd nocą, pod osłoną mroku. Możemy spróbować przedostać się przez miasto, do portu. Możemy przejąć jeden z mych okrętów, jeśli jakowyś pozostał i odpłynąć.

W komnacie zaległa długa chwila niepewności wyrażonej milczeniem.

- Ryzykowne – powiedział w końcu Merek poważnym głosem. – W mieście roi się od imperialnych. Jak mamy je przejść i nie dać się zabić?

Silis wzruszyła ramionami.

- To prawda – odparła. – Jeśli nas złapią, zostaniemy zabici. Jeśli jednak wyjdziemy stąd w porze największego mroku, i

zabijemy wszystkich, którzy staną nam na drodze, być może dotrzemy do portu.

- A jeśli znajdziemy owe przejście i dojdziemy do portu, a twoich okrętów tam nie będzie? – spytał Ario.

Zmierzyła go wzrokiem.

Żaden plan nie jest doskonały – powiedziała. – Równie dobrze możemy tam wszyscy zginąć – jak i szczeznąć tu na dole.

- Śmierć przybywa po wszystkich – wtrącił Godfrey, mając poczucie nowego celu. Wstał i stanął naprzeciw pozostałych, czując jak narasta w nim determinacja, która zwycięża z dotychczas odczuwanym lękiem. – To kwestia tego, jak zamierzamy umrzeć: tu, na dole, kuląc się ze strachu niczym szczury? Czy tam, wyżej, zmierzając ku wolności?

Powoli, jeden po drugim, wszyscy podnieśli się z podłogi. Stanęli naprzeciw i skinęli głowami uroczyście.

Wiedział, w tej jednej chwili, że właśnie powstał plan. Tej nocy uciekną.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Loti i Loc szli ramię w ramię pod piekącym pustynnym słońcem, przykuci do siebie łańcuchami i chłostani co rusz przez poganiających ich nadzorców Imperium. Wędrowali po zupełnym ugorze, a Loti zastanawiała się po raz wtóry, z jakiej to przyczyny jej brat zgłosił się dobrowolnie do tej niebezpiecznej, katorżniczej pracy. Postradał zmysły?

- Co ty sobie myślałeś? – wyszeptała do niego. Trącony od tyłu Loc stracił równowagę i zatoczył się do przodu, jednak Loti zdołała chwycić go za zdrowe ramię i powstrzymać od upadku.

- Dlaczego nas zgłosiłeś? – dodała.

- Spójrz przed siebie – powiedział, odzyskawszy równowagę.
- Co widzisz?

Loti spojrzała we wskazanym kierunku, jednak nie zauważyła niczego poza monotonnym, pustynnym krajobrazem, pełnym niewolników, ziemi usianej skalnymi odłamkami; dalej zaś ujrzała zbocze wiodące nad grań, na której pracował tuzin kolejnych więźniów. Wszędzie kręcili się dozorczy, wypełniając powietrze odgłosem chłostania.

- Niczego nie widzę – odparła ze zniecierpliwieniem – poza tym samym: zaharowanych na śmierć niewolników.

Nagle poczuła rozdzierający plecy ból, jakby kto zdarł jej skórę z pleców. Wrzasnęła od smagnięcia batem, który rozorał jej skórę.

Odwróciła się i ujrzała za sobą spoglądającego spode łba nadzorcę.

- Cisza! – rozkazał.

Loti miała ochotę rozplakać się z powodu dojmującego bólu, lecz zagryzła wargi i ruszyła dalej wraz z Lokim, dzwoniąc kajdanami pod prażącym słońcem. Poprzysięgła sobie zabić wszystkich imperialnych, jak najszybciej.

Kontynuowali pochód w milczeniu. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był chrzęst rozgniatanych przez buty odłamków. Po chwili Loc zbliżył się do niej pomalutku.

- To nie to, co widzisz – wyszeptał – lecz czego nie dostrzegasz. Przyjrzyj się dokładnie. Tam, powyżej, na grani.

Zlustrowała krajobraz, lecz niczego nie zauważyła.

- Jest tam tylko jeden nadzorca. Jeden. Na dwa tuziny niewolników. Rzuć okiem na dolinę i zobacz ilu ich tam jest.

Loti zerknęła ukradkiem przez ramię i w rozległej dolinie poniżej dostrzegła tuziny nadzorców baczących na niewolników, którzy rozbijali skały i uprawiali ziemię. Odwróciła się i spojrzała ponownie na grań. Po raz pierwszy pojęła, z jakim zamiarem nosi się jej brat. Nie dość, iż był tam tylko jeden nadzorca, to jeszcze obok niego stał zert. To dawało szansę ucieczki.

Była pod wrażeniem.

Skinął ze zrozumieniem.

- Szczyt to najbardziej niebezpieczna działka – wyszeptał. – Najgorętsza, to najmniej pożądane miejsce, zarówno przez niewolników jak i nadzorców. Lecz w tym, siostró, leży nasza

szansa.

Nagle któryś nadzorca zaserwował Loti kopniaka w plecy i ta zatoczyła się do przodu, ciągnąc za sobą Loka. Oboje wyprostowali się i ruszyli dalej w górę. Loti z trudem łapała powietrze, starała się zaczerpnąć tchu w rosnącym żarze. Tym razem jednak, kiedy ponownie spojrzała w górę, jej serce wezbrało optymizmem i zabiło szybciej, aż poczuła je w gardle: nareszcie mieli jakiś plan.

Loti nigdy nie uważała brata za człowieka śmiałego, skorego do podejmowania takiego ryzyka, gotowego stanąć przeciw Imperium. Teraz jednak, kiedy na niego spojrzała, zdołała dostrzec w jego oczach determinację, zauważyła, że nareszcie podziela jej myśli. Zobaczyła go w nowym świetle i była pełna podziwu z tego powodu. Był to dokładnie taki rodzaj planu, jaki mógłby wyjść z jej własnej inicjatywy.

- A co z kajdanami? – odszepnęła, upewniwszy się, że nadzorcy nie patrzą.

Loc skinął głową.

- Siodło – odrzekł. – Przyjrzyj się.

Loti spojrzała na siodło i zauważyła długi miecz przytroczony do niego; dotarło do niej, iż mogą użyć go, by rozciąć okowy. Mogli stamtąd uciec.

Czując niejaki optymizm, po raz pierwszy od czasu pojmania, Loti przyjrzała się pozostałym niewolnikom pracującym u wierzchołka. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, tkwili zgarbieni przy swym kieracie, zrezygnowani, bez jakichkolwiek oznak

oporu; natychmiast pojęła, iż żadne z nich nie przyjdzie im z pomocą, nie przysłuży się ich sprawie. Odpowiadało jej to – niepotrzebna była im ich pomoc. Potrzebowali zaledwie okazji oraz tego, by ci wszyscy niewolnicy posłużyli do odwrócenia uwagi.

Loti poczuła kolejny, ostatni kopniak w krzyż, zachwiała się do przodu i wylądowała twarzą na ziemi, dotarłszy na szczyt grzbietu. Wkrótce czyjeś szorstkie dłonie postawiły ją z powrotem na nogi. Odwróciła się i ujrzała nadzorcę, który popchnął ją brutalnie, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem w dół, zostawiając ich w miejscu.

- Do rzędu! – huknął nowy nadzorca, jedyny, jaki przebywał na szczycie grani.

Loti poczuła, jak jego stwardniałe dłonie chwytają ją za kark i pchają do przodu, zmuszając do truchtu i wydobywając szczęk z łańcucha, ostatecznie prowadząc ją na działkę, gdzie harowali niewolnicy. Mężczyzna wręczył jej długą motykę z żelaznym końcem, po czym zaserwował kolejne pchnięcie, spodziewając się, że dołączy do pozostałych.

Odwróciła się. Loc skinął ku niej znacząco i poczuła, jak w jej żyłach rozgorzał ogień; wiedziała, że mają tylko jedną szansę, teraz lub nigdy.

Loti wrzasnęła, uniosła motykę, zamachnęła się nią i z całą siłą opuściła. Była zszokowana, gdy usłyszała głuchy odgłos, gdy ujrzała zakończenie motyki tkwiące w głowie nadzorcy.

Zadała cios szybko, ze stanowczością, a mężczyzna

najwyraźniej w ogóle się tego nie spodziewał. Nie miał nawet czasu, by jakkolwiek zareagować. Zapewne żaden niewolnik, przebywając w otoczeniu tak wielu nadzorców i nie mając dokąd uciec, nigdy nie porwał się na taki czyn.

Loti poczuła drżenie motyki, które rozeszło się od. dłoni po ramiona, po czym, z zadowoleniem zauważyła, że strażnik zachwiał się i osunął na ziemię. Odczuwała wciąż liczne razy od bata na plecach, więc widok ten natchnął ją przekonaniem, iż sprawiedliwości stało się zadość.

Wówczas wkroczył jej brat, uniósł wysoko swą motykę i w chwili, kiedy nadzorca zwinął się w kłębek, zdzielił go prosto w potylicę.

Koniec końców, nadzorca znieruchomiał.

Loti, dysząc ciężko, cała zlane potem i z bijącym szybko sercem upuściła zbroczoną krwią mężczyzny motykę z niedowierzania, po czym wymieniła spojrzenia z bratem. Dokonali tego.

Czuła zaciekawione spojrzenia otaczających ją niewolników. Odwróciła się i zobaczyła, że obserwują ją wszyscy z szeroko otwartymi ustami. Zaniechawszy pracy, wsparli się o swe motyki i obrzucili ją i brata pełnym grozy i niedowierzania spojrzeniem.

Loti doskonale wiedziała, że nie ma czasu do stracenia. Podbiegła wraz z bratem do zerta, obiema rękoma wydobyła miecz z siodła, uniosła wysoko i obróciła się.

- Uważaj! – wrzasnęła do Loka.

Przygotował się na uderzenie, a ona opuściła miecz z całych

sił i rozcięta kajdany. Poleciały iskry i poczuła satysfakcję z oswobodzenia się z łańcuchów.

Odwróciła się, by odejść, gdy wtem usłyszała krzyk.

- A my? – wrzasnął któryś z niewolników.

Zobaczyła, jak pozostali niewolnicy podbiegają do niej, wyciągając przed siebie swe kajdany. Odwróciła się i zobaczyła czekającego zerta. Wiedziała, że traci drogocenny czas. Pragnęła skierować się na wschód, jak najszybciej podążyć do Volusii, miejsca, ku któremu udał się według jej wiedzy Darius. Być może zdołałaby go tam odnaleźć. Jednocześnie, nie mogła znieść widoku zakutych w kajdany braci i sióstr.

Loti popędziła przed siebie, poprzez tłum niewolników, tnąc po kajdanach na lewo i prawo, dopóki wszyscy nie zostali uwolnieni. Nie miała pojęcia, dokąd udadzą się teraz, kiedy już odzyskali wolność – ale przynajmniej mogli uczynić coś podług własnej woli.

Odwróciła się, dosiadła zerta i wyciągnęła dłoń do Loka. Podał jej zdrową rękę, podciągnęła go – po czym pogoniła wierzchowca solidnym kuksańcem.

Kiedy odjeżdżali, upojeni odzyskaną wolnością, w oddali rozległy się krzyki imperialnych nadzorców. Zauważyli ich wszyscy. Ale Loti nie czekała. Skierowała zerta w dół grani, po przeciwległym zboczu, i popędziła wraz z bratem przez pustynię, z dala od nadzorców – ku wolności.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Darius podniósł wzrok i zająrzył w oczy klęczącego nad nim tajemniczego mężczyzny.

Jego ojca.

Spoglądając mu w oczy, stracił całkowicie poczucie czasu i miejsca, całe jego życie zastygło w tej chwili w bezruchu. Wtem wszystkie elementy ułożyły się w układankę. Owo dziwne uczucie, które Darius podzielał od chwili, gdy jego oczy spoczęły na nim po raz pierwszy. To znajome spojrzenie, to przekonanie tkwiące nieznośnie gdzieś na krańcach jego świadomości, które nie dawało mu spokoju od chwili, kiedy go spotkał.

Jego ojciec.

Samo słowo zdawało się nierealne.

Ale oto był tu, klęczał nad nim, ocaliwszy mu właśnie życie, blokując śmiertelny cios zadany przez żołnierza Imperium, uderzenie, od którego z pewnością Darius poniósłby śmierć. Ryzykował życiem, odważywszy się wyjść na arenę, sam, w chwili, kiedy Darius niemal stracił życie.

Zaryzykował wszystko dla niego. Swego syna. Ale dlaczego?

- Ojciec – odezwał się Darius głosem przypominającym pełen podziwu szept.

Darius poczuł przypływ dumy, kiedy dotarło do niego, że jest spokrewniony z tym człowiekiem, tym wspaniałym wojownikiem, najlepszym ze wszystkich, jakich spotkał. Dzięki

temu poczuł, iż on, Darius, również może zostać wspaniałym wojownikiem.

Ojciec wyciągnął rękę i chwycił jego dłoń, a był to chwyt mocarny, stanowczy. Jednym pociągnięciem postawił Dariusza na nogi i w tej jednej chwili Darius poczuł się jak nowo narodzony. Jakby odkrył powód do walki, powód, by dalej żyć.

Natychmiast sięgnął w dół, chwycił upuszczony przez siebie miecz, po czym odwrócił się i wraz z ojcem stanął naprzeciw nadciągającej hordy imperialnych żołnierzy. Kiedy padły owe szkaradne stwory, ubite przez jego ojca, rozbrzmiały rogi i Imperium wysłało przeciw nim kolejną falę żołnierzy.

Tłumy zaryczały, a Darius przyjrzał się odrażającym twarzom napierających na nich z długimi włóczniami żołnierzy Imperium. Skoncentrował się i poczuł, jak wszystko wokół zwalnia, w miarę jak gotował się do walki o życie.

Jeden z żołnierzy zaatakował, rzucił włócznią w twarz. Darius uchylił się tuż przed tym, nim trafiła go w oko. Potem zamachnął się i kiedy żołnierz podbiegł, by stawić mu czoło, zdzielił go ręką miecza w skroń, powalając na ziemię. Darius dał nura przed mieczem kolejnego żołnierza wycelowanym w jego głowę, potem runął w przód i dźgnął go w brzuch.

Kolejny żołnierz zaatakował z boku, mierząc włócznią w żebra Dariusza. Uczynił to zbyt szybko, by Darius zdążył zareagować; wtem Darius usłyszał odgłos drzewa walącego o metal, a kiedy odwrócił się, z wdzięcznością ujrzał ojca, który zablokował uderzenie włóczni swą laską zanim dosięgło Dariusza.

Potem dźgnął nią żołnierza między oczy, przewracając go na ziemię.

Ojciec obrócił się wraz ze swym drzewcem i stanął naprzeciw grupy atakujących. Powietrze wypełnił stukot laski, którą odbił nadlatujące jedna za drugą włócznie. Mężczyzna ruszył w taneczny ferwor pomiędzy żołnierzy, lawirując wokół nich niczym gazela, dzierżąc swą laskę jakby była dziełem najwyższego kunsztu. Obracał się i zadawał uderzenie z profesjonalną dokładnością, idealnie wymierzając dźgnięcia w krtani, między oczy, w przepoń, powalając przeciwników na lewo i prawo. Był niczym grom z jasnego nieba.

Natchniony jego sztuką walki Darius walczył u boku ojca jak opętany, czerpiąc siły z jego dokonań; szlachtował, robił uniki i zadawał dźgnięcia, wydobywając szczęk i skry z miecza, którym traktował oręż przeciwnika, nacierając nieustraszenie na zastęp żołnierzy. Byli od niego więksi, lecz Darius miał w sobie więcej bitewnego ducha i, w przeciwieństwie do nich, walczył o swe życie – i o życie ojca. Odbił wiele ciosów zadanych w kierunku ojca, ocalając go od nieprzewidzianej śmierci. Powalał żołnierzy na lewo i prawo.

Ostatni z żołnierzy rzucił się na Dariusza, unosząc wysoko nad głową miecz, lecz w tej samej chwili Darius skoczył do przodu i dźgnął go prosto w serce. Mężczyzna otworzył szeroko oczy, po czym, z wolna, znieruchomiał i padł na ziemię martwy.

Darius stanął obok ojca, plecami wsparty o jego plecy, ciężko dysząc i lustrując dzieło własnych rąk. Wszędzie wokół

spoczywali martwi żołnierze Imperium. Odnosił zwycięstwo.

Miał wrażenie, że mając u boku ojca, może zmierzyć się z każdym wyzwaniem, jakie zgotuje mu świat; czuł, że razem stanowią niepowstrzymaną siłę. Sama zaś walka u boku ojca miała dla niego nierzeczywisty wymiar. U boku ojca, który w jego marzeniach od zawsze był wielkim wojownikiem. Koniec końców okazało się, że nie jest takim ot zwykłym człowiekiem.

Rozległ się chór rogów, któremu zawtórował wiwatujący tłum. Darius miał nadzieję, że wznoszą okrzyki na cześć jego zwycięstwa, wówczas jednak po drugiej stronie areny otworzyły się wielkie, żelazne wrota. Pojął natychmiast, że najgorsze dopiero przed nimi.

Dobiegł ich dźwięk trąby. Darius nie słyszał nigdy niczego tak głośnego. Dopiero po chwili dotarło do niego, że sygnał nie pochodził z instrumentu – lecz z trąby słonia. Począł obserwować bramę z sercem walącym ciężko z oczekiwania, nagle, pojawiły się w niej dwa słonie, całe czarne, z długimi, lśniącymi bielą ciosami i wykrzywionymi gniewem pyskami. Darius był w szoku. Zwierzęta zaś odchyliły łby i zatrąbiły.

Hałas wstrząsnął całą okolicą. Uniosły przednie nogi, po czym opuściły z hukiem, stąpając tak mocno, iż ziemia się zatrzęsła, wytrącając Dariusza i jego ojca z równowagi. Zwierzęta dosiadali żołnierze Imperium dzierżący włócznie i miecze i odziani od stóp do głów w zbroje.

Darius przyjrzał się im uważnie, obejrzał owe bestie większe ponad wszystko, co napotkał dotąd w życiu i pojął, że nie ma

takiej możliwości, by wraz z ojcem wygrać tę utarczkę. Odwrócił się i ujrzał stojącego obok ojca, nieustraszonego, niepoddającego się, spoglądającego ze stoickim spokojem śmierci w oczy. Jego postawa dodała Dariusowi sił.

- Nie wygramy, ojcze – powiedział, oznajmując oczywisty fakt, kiedy słonie ruszyły w natarciu.

- Już wygraliśmy, synu – powiedział mężczyzna. – Stojąc tu i stawiając im czoła, nie odwracając się i nie uciekając, dzięki czemu już je pokonaliśmy. Nasze ciała mogą tu dziś polec, lecz pamięć o nas przetrwa – i da świadectwo naszemu męstwu!

To powiedziawszy, ojciec wydobył z siebie okrzyk i zaatakował. Zainspirowany tym Darius również krzyknął i ruszył do ataku wraz z ojcem. Obaj popędzili na spotkanie słoniom, biegnąc co sił i nie wahając się spojrzeć śmierci w oczy.

Chwila, w której starli się z nimi, wyglądała nieco inaczej niż to, czego Darius się spodziewał. Uchylił się przed włócznią żołnierza, którą ten rzucił w niego z góry, i ciał po zbliżającej się nodze zwierzęcia. Nie wiedział, jak uderzać słonia, ani chociażby, czy zadany cios odniesie jakiś skutek.

I nie odniósł. Uderzenie Dariusza ledwie zadrapało skórę słonia. Potężna bestia rozsierzdona poczynaniami Dariusza opuściła trąbę i zamachnęła się nią w bok, waląc go w żebra.

Darius przeleciał w powietrzu trzydzieści jardów, czując, iż uderzenie pozbawiło go tchu, po czym wylądował na plecach i przetoczył się po ziemi. Obracał się raz po raz, próbując złapać oddech i słysząc stłumione okrzyki tłumu.

Odwrócił się i rozejrzał za ojcem, powodowany troską o jego dobro. Kątem oka dostrzegł, jak ciska włócznią prosto w górę, celując w jedno z olbrzymich oczu słońa, po czym przetacza się na bok, umykając mu z drogi, kiedy zwierzę natarło na niego ponownie.

Uderzenie było celne. Włócznia utkwiała głęboko w oku. W tej samej chwili słoń zakwiczał i zaryczał trąbą. Nogi ugięły się pod nim i zwierzę padło na ziemię i przetoczyło się, podcinając jednocześnie drugiego słońa i wzbijając ogromne tumany kurzu.

Darius skoczył na nogi. Olśniony sukcesem ojca i zdeterminowany, utkwiał wzrok w jednym z żołnierzy Imperium, który upadł i turlał się po ziemi. Mężczyzna wygramolił się na kolana, odwrócił się i, dzierżąc wciąż włócznię, zamierzył się na plecy ojca Dariusza. Ten stał tam, nie spodziewając się niczego, a Darius pojął, że za chwilę będzie martwy.

Ruszył więc z miejsca. Zaatakował żołnierza, uniósł miecz i wybił mu włócznię z dłoni – potem wykonał obrót i pozbawił go głowy.

Thumy ryknęły.

Darius nie miał jednak czasu napawać się swym triumfem: usłyszał wielkie dudnienie, odwrócił się i zauważył, że drugi słoń zdążył powstać z ziemi – wraz ze swym jeźdźcem – i ruszył na niego. Nie mając czasu, by umknąć mu z drogi, położył się na plecach i przytrzymał pionowo włócznię, wprost pod opadającą nogę słońa. Począł do ostatniej chwili, po czym sturlał się z drogi, gdy słoń akurat zamierzał wbić go w ziemię.

Kiedy stopa słonia przeleciała tuż obok, Darius poczuł potężny powiew powietrza. Minęła go zaledwie o kilka cali. Potem rozległ się kwik oraz odgłos włóczni przeszywającej ciało, gdy słoń nastąpił na drzewce. Włócznia przebiła się w górę, przeszła przez całe ciało i wyszła z drugiej strony.

Słoń wierzgnął, zaryczał i jął biegać wokoło; tym samym jego jeździec stracił panowanie i spadł, z wysokości dobrych pięćdziesięciu stóp, i z wrzaskiem wylądował na ziemi. Od uderzenia poniósł natychmiastową śmierć.

Słoń zaś, wciąż rozsierdzony zadany mu bólem, zamachnął się trąbą i trzasnął Dariusza, ponownie wyrzucając go w powietrze. Ten spadł na łeb na szyję, czując, jakby połamane wszystkie żebra.

Wygramolił się na ręce i kolana, starając się złapać oddech i podniósł wzrok. Zobaczył ojca dzielnie walczącego z kilkoma żołnierzami, których wypuszczono na arenę na pomoc pozostałym. Obracał się, uderzał i dźgał swą laską, powalając kilku z nich.

Ów słoń, który upadł, jako pierwszy, z włócznią wciąż tkwiącą w oku, powstał, chłostany batem przez innego żołnierza Imperium. Mężczyzna wskoczył na jego grzbiet i pokierował słonia, który bryknął i zaszarżował wprost na ojca Dariusza. Ten walczył z żołnierzami i niczego nie zauważył.

Darius obserwował, jak ta scena rozgrywa się na jego oczach. Był bezradny, ojciec znajdował się zbyt daleko. Nie był w stanie dotrzeć do niego na czas. Czas zwolnił bieg, kiedy słoń zwrócił

się wprost ku niemu.

- NIE! – wrzasnął Darius.

Obserwował z przerażeniem, jak słoń pędzi przed siebie, wprost na niczego niespodziewającego się ojca. Darius runął przez pole bitwy, biegnąc mu na ratunek. Wiedział jednak, przez całą drogę, że to daremny trud. Jakby widział, jak jego świat rozpada się w zwolnionym tempie.

Słoń opuścił ciosy, natarł i nadział na odwróconego tyłem ojca.

Mężczyzna wrzasnął. Z jego ust popłynęła krew. Słoń zaś dźwignął go wysoko w powietrze.

Na widok ojca, najdzielniejszego spośród wszystkich wojowników, zawisłego wysoko w powietrzu, nabitego na cios i starającego się uwolnić mimo zbliżającej się śmierci, serce Dariusza zamarło.

- OJCZE! – wrzasnął.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Thorgrin stał na dziobie okrętu. Zacisnąwszy pięść na rękojeści miecza, podniósł wzrok i z szokiem oraz przerażeniem, spojrzał na potężne, morskie monstrum wyłaniające się z wodnych głębin. Miało tę samą barwę, co krwiste morze poniżej, a wznosząc się coraz wyżej, swym cielskiem rzucało cień zasłaniający resztki światła dostępnego w Krainie Krwi. Otworzyło masywne szczęki, ukazując całe rzędy kłów, po czym wypuściło macki na wszystkie strony, niektóre dłuższe od okrętu, jakby jakiś stwór sięgał ku nim z piekielnych czeluści z zamiarem wzięcia ich w objęcia.

Potem runęło w dół na okręt, gotowe pochłonąć ich wszystkich.

Stojący u boku Thorgrina Reece, Selese, O'Connor, Indra, Matus, Elden oraz Angel wzniesli oręż, nie dając się mu zastraszyć, dzielnie stawiając czoła bestii. Thor poczuł, jak spoczywający w jego dłoni Miecz Śmierci zaczął wibrować i umocnił go w postanowieniu, iż musi podjąć jakieś kroki. Musiał chronić Angel i pozostałych. Wiedział też, że nie może czekać, aż bestia przybędzie po nich.

Skoczył przed siebie, wysoko na reling, wzniosł miecz nad głowę i kiedy nadleciała jedna z macek, mierząc w niego z ukosa, obrócił się i odrąbał ją. Ogromna macka opadła na pokład z głuchym plaśnięciem, wstrząsając okrętem, po czym ześlizgnęła

się po nim i trzasnęła w reling.

Pozostali również nie zawahali się. O'Connor wypuścił serię strzał w oczy bestii, zaś Reece odrąbał kolejną mackę opadającą na kibić Selese. Indra rzuciła włócznią i przebiła jej ciało. Matus wykonał zamach cepem i odciął kolejną odnogę, natomiast Elden skorzystał ze swego topora i odrąbał dwie naraz. Legioniści ruszyli na bestię jak jeden mąż, atakując ją niczym świetnie dostrojona machina.

Pozbawiona kilku macek, przebita włóczniami i strzałami bestia wrzasnęła z wściekłości. Najwyraźniej zaskoczył ją ten skoordynowany atak. Odniósłszy za pierwszym razem porażkę, stworzenie wrzasnęło z frustracji jeszcze głośniej, po czym wystrzeliło wysoko w powietrze i równie szybko zanurkowało pod powierzchnię, wzburzając wielkie fale, które zakołysały w następstwie całym okrętem.

Thor rozejrzał się z konsternacją w nagłej ciszy i przez sekundę pomyślał, że stworzenie wycofało się być może, że je pokonali, zwłaszcza że dostrzegł jego krew wypływającą na powierzchnię morza. Potem jednak tknęło go złe przeczucie, wszystko ucichło tak nagle.

I wtem, za późno niestety, dotarło do niego, co bestia zamierzała uczynić.

- TRZYMAJCIE SIĘ! – wrzasnął do pozostałych.

Ledwie wymówił te słowa, gdy poczuł, jak okręt unosi się chwiejnie z wody, coraz wyżej i wyżej, aż całkowicie zawisł w powietrzu, w objęciach macek bestii. Thor spuścił wzrok i

zobaczył potwora pod okrętem oraz jego macki owinięte wokół statku na całej jego długości, od rufy aż po dziób. Przygotował się na nadchodzące uderzenie.

Bestia cisnęła okręt w górę i ten poleciał w powietrze niczym zabawka. Wszyscy starali się trzymać go ze wszystkich sił, aż do chwili, gdy wreszcie wylądował w oceanie, kołysząc się wściekle.

Straciwszy równowagę, Thor i pozostali rozpięchli się ślizgiem po pokładzie na wszystkie strony, uderzając z impetem o drewniany takielunek rzucanego po całej powierzchni wody statku. Thor spostrzegł ześlizgującą się w kierunku relingu Angel, mającą zapewne wylecieć za burtę, więc wyciągnął rękę, chwycił jej niewielką dłoń i przytrzymał mocno. Spojrzała na niego z paniką w oczach.

Koniec końców okręt wyprostował się. Thor skoczył na nogi, wraz z pozostałymi, i przygotował się na następny atak. Ledwie to uczynił, kiedy ujrzał płynącą ku nim z pełną prędkością bestię, która wymachiwała mackami na wszystkie strony. Pochwyciła cały okręt, a jej macki wpełzły na pokład i ruszyły wprost na nich.

Thor usłyszał krzyk, obejrzał się i zobaczył Selese z owiniętą wokół kostki macką, która ześlizgiwała się z pokładu, ulegając wciągającej ją za burtę odnodze. Reece zamachnął się i odrąbał mackę, jednakże, równie szybko kolejna chwyciła jego ramię. Po całym okręcie pełzło coraz więcej macek. Jedna owinęła się Thorowi wokół uda, a kiedy obejrzał się za siebie, zauważył, że wszyscy legioniści wymachiwali orężem niemal na oślep,

odrabując kolejne macki. W miejsce każdej, którą odcięli, pojawiały się dwie następne.

Otoczały cały okręt. Thor wiedział, że jeśli wkrótce czegoś nie przedsięwzię, wszyscy zostaną pochłonięci przez potwora na dobre. Usłyszał krzyk, wysoko na niebie, a kiedy podniósł wzrok, ujrzał jedno z demonicznych stworzeń wypuszczone z samych piekieł. Frunęło wysoko i spoglądało w dół z szyderczą miną.

Thor przymknął oczy, wiedząc, iż to jedno z jego wyzwani, jedna z monumentalnych chwil jego życia. Spróbował odseparować się od świata, skoncentrować na swym wnętrzu. Na efektach swego szkolenia. Na Argonie, Na matce. Na swej mocy. Był potężniejszy od wszystkiego. Wiedział o tym dobrze. Spoczywała w nim moc, głęboko, moc przewyższająca fizyczny świat. Owo stworzenie wywodziło się z tego świata – mimo to moce Thora były większe. Mógł zawezwać siły natury, które uformowały to zwierzę i odesłać je z powrotem do piekła, z którego przyszło.

Poczuł, że wszystko wokół niego spowalnia. Poczuł żar narastający w dłoniach, rozchodzący się na ramiona, potem barki i z powrotem, w postaci ciarek, wprost do samego końca palców. Czując się niezwykcieżony, otworzył oczy. Poczuł promieniującą z nich niesamowitą moc, moc wszechświata.

Thor wyciągnął rękę i umieścił dłoń na macce i w tej samej chwili przypalił ją. Bestia wycofała ją natychmiast, wypuszczając go z uścisku, jak oparzona.

Thor wstał, zupełnie odmieniony. Odwrócił się i ujrzał łeb bestii cofający się wzdłuż burty statku oraz otwierające się szeroko szczęki. Potwór gotował się, by połknąć ich w całości. Thor zauważył też ześlizgujących się po pokładzie braci i siostry z legionu, wywlekanych z okrętu przez burte.

Thor wydał z siebie bojowy okrzyk i ruszył do ataku. Runął na bestię, zanim zdążyła połknąć pozostałych. Zrezygnował z miecza. Zamiast tego sięgnął w jej stronę gorejącymi dłońmi. Pochwycił pysk bestii, położył na niej dłonie i w tej samej chwili poczuł swąd spalenizny.

Przytrzymał się mocno, a stwór jął wykręcać się i powrzaskiwać, starając się uwolnić z jego uścisku. Z wolna, jedna macka po drugiej, odnogi potwora uwolniły okręt. Thor zaś poczuł, jak moc w nim wzbiera jeszcze bardziej. Uwięził w niej bestię, po czym uniósł obie dłonie, a poczuwszy ciężar bestii, uniósł ją w powietrzu wysoko. Wkrótce zawisła nad Thorem, unoszona jego potęgą.

Wówczas, gdy znalazła się dobre trzydzieści stóp nad jego głową, Thor obrócił się i wyrzucił dłonie przed siebie.

Bestia poleciała ponad statkiem, skrzecząc przeciągle i obracając się wokół własnej osi. Poszybowała w powietrzu na dobre sto stóp, po czym, koniec końców, zwiotczała. Spadła do morza z wielkim pluskiem i po chwili znikła pod powierzchnią wody.

Martwa.

Thor stał w panującej wokół ciszy. Jego ciało wciąż

rozgrzewał ów żar. Z wolna, jeden po drugim, pozostali członkowie załogi przegrupowali się, wstali i podeszli do niego. Thor stał zaś oszołomiony, dysząc ciężko, i spoglądał na morze krwi. Poza nim, na horyzoncie, widniał czarny zamek. Thor utkwiał wzrok w majaczącej złowieszczo nad tą krainą budowli. Wiedział, że to tam przetrzymują jego syna.

Nadeszła pora. Nic już nie mogło go teraz powstrzymać. Nadszedł czas, by w końcu odzyskać syna.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Volusia stała przed licznym gronem swych doradców zebranych na ulicy stolicy i spoglądała z szokiem w zwierciadło spoczywające w jej dłoni. Przyglądała się nowej twarzy pod każdym kątem – połowa wciąż była piękna, a druga oszpecona, stopiona – i poczuła narastającą odrazę. Sam fakt, iż uchowała się połowa jej piękna w jakiś sposób pogarszał tylko sprawę. Dotarło do niej, iż byłoby o wiele łatwiej zaakceptować to, gdyby cała jej twarz została oszpecona – wówczas nie musiałaby pamiętać dawnego wyglądu.

Wróciła myślami do swego zdumiewająco pięknego wyglądu, źródła jej władzy, które pomogło jej przetrwać w życiu niejedno, dzięki któremu potrafiła manipulować zarówno mężczyznami, jak i kobietami, dzięki któremu jednym spojrzeniem rzucała ludzi na kolana. Teraz zaś wszystko to przepadło. Była już tylko kolejną siedemnastolatką – i co gorsza, w połowie potworem. Nie mogła znieść widoku swej twarzy.

W przypiływie gniewu i rozpaczcy cisnęła zwierciadło na dół. Na jej oczach rozbiło się na kawałki o nawierzchnię nieskazitelnej, stołecznej ulicy. Jej doradcy stali w milczeniu z odwróconym wzrokiem, wiedząc dobrze, że lepiej nie nagabywać jej w tej chwili. Ona również pojęła z łatwością, zlustrowawszy ich twarze, że żaden nie chce na nią spoglądać, widzieć okropieństwa, które stało się udziałem jej twarzy.

Volusia rozejrzała się wokół za Vokami. Miała ochotę rozerwać ich na strzępy – lecz oni już odeszli, zniknęli jak tylko rzucili na nią owo ohydne zaklęcie. Ostrzegano ją, by nie sprzymierzała się z nimi i teraz pojęła, że owe ostrzeżenia nie były bezpodstawne. Zapłaciła wysoką cenę. Taką, której nigdy nie będzie mogła cofnąć.

Pragnęła wyładować na kimś swój gniew. Jej wzrok spoczął na Brinie, nowo mianowanym dowódcy, posagowym wojowniku zaledwie kilka lat od niej starszym, który od wielu księżyców umizgiwał się do niej. Młody, wysoki, umięśniony, wyglądał olśniewająco. I pragnął jej, od kiedy tylko sięgała pamięcią. Teraz jednak, na przekór jej gniewowi, nawet nie szukał jej wzroku.

- Ty – syknęła na niego, ledwie powstrzymując się od wybuchu. – Nie spojrzysz choćby teraz na mnie?

Spasowała, kiedy podniósł wzrok, lecz nie śmiał spojrzeć jej w oczy. Takie już było jej przeznaczenie, do końca życia być postrzeganą, jako dziwaczka.

- Jestem dla ciebie teraz odrażająca? – spytała łamiącym się z rozpacz głosem.

Zwiesił nisko głowę, lecz nie odpowiedział.

- Dobrze – powiedziała w końcu, po długiej chwili milczenia, zdecydowana wziąć na kimś odwet – zatem rozkazuję ci: będziesz wpatrywał się w twarz, której tak bardzo nienawidzisz. Udowodnisz mi, że jestem piękna. Będziesz spał ze mną w łóżu.

Dowódca podniósł wzrok i po raz pierwszy zajrzał jej w oczy.

Z jego miny wyzierał strach i przerażenie.

- Bogini? – spytał łamiącym się głosem, wystraszony, wiedząc, że poniesie śmierć, jeśli przeciwstawi się jej rozkazom.

Volusia uśmiechnęła się szeroko. Po raz pierwszy była szczęśliwa. Dotarło do niej, iż taka zemsta będzie wręcz idealna. spać z człowiekiem, który czuje do niej największą odrazę.

- Ty przodem – powiedziała, ustępując z drogi i wskazując gestem swoją komnatę.

*

Stała przed wysokim, sklepionym łukiem oknem, na najwyższym piętrze pałacu stolicy Volusii. Właśnie wschodziły oba wczesnoporanne słońca i wiatr wydał zasłony, ocierając nimi jej twarz. Płakała cichutko. Czuła łzy spływające po zdrowej części twarzy, lecz nie po drugiej, tej stopionej. Ta była bez uczucia.

Powietrze przeszło delikatne chrapanie. Spojrzała przez ramię na wciąż śpiącego Brina, na jego wykrzywioną twarz wyrażającą odrazę nawet podczas snu. Wiedziała, że nienawidził każdej chwili spędzonej w jej łóżu i świadomość tego dała jej poczucie niewielkiej zemsty. Mimo to, nie czuła się usatysfakcjonowana. Nie mogła wyładować swych emocji na Vokach i wciąż pragnęła się zemścić.

Była to nikła namiastka zemsty, ledwie ułamek tego, na co miała ochotę. Vokowie bądź co bądź odeszli, a ona wciąż była tu, następnego ranka, nadal żywa, nadal skazana na siebie, już do końca życia. Skazana na ten wygląd, na tę szkaradną twarz,

której ona sama nawet nie była zdolna znieść.

Volusia starła łzy i sięgnęła wzrokiem poza granicę miasta, ponad mury stolicy, hen daleko na horyzont. W świetle wstających słońc dostrzegła pierwsze, ledwie wyraźne zarysy armii Rycerzy Wielkiej Siódemki. Cały horyzont był usiany ich czarnymi sztandarami. Rozłożyli tam obóz, a ich armia rozrastała się nieprzerwanie. Otaczali ją z wolna, rosnąc w miliony żołnierzy ściąganych ze wszystkich zakątków Imperium, gotując się do inwazji. Do zmiażdżenia jej.

Oczekiwała na to z zadowoleniem. Nie potrzebowała Voków. Ani żadnego ze swych ludzi. Mogła rozgromić ich własnoręcznie. Była wszak boginią. Już dawno porzuciła królestwo śmiertelników. Teraz była legendą, legendą, której nikt, żadna armia na całym świecie nie była w stanie powstrzymać. Zamierzała powitać ich sama i wybić wszystkich, raz na zawsze.

Wówczas, koniec końców, nie zostanie już nikt, kto śmiałby przeciwstawić się jej. Wówczas posiadać najwyższą władzę.

Usłyszała za sobą szelest i kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Zauważyła podnoszącego się z łoża Brina, który odrzucił z siebie pościel i zaczął wkładać na siebie odzienie. Zauważyła, że przemyka chyłkiem, starając się nie hałasować i pojęła, że ma zamiar wymknąć się z komnaty zanim ona to dostrzeże – aby już nigdy więcej nie oglądać jej twarzy. Jakby tego było mało.

- Oj, dowódco – zawołała niby od niechcenia.

Zobaczyła, jak znieruchomiał ze strachu; odwrócił się i

obejrzał na nią z ociąganiem, a kiedy to uczynił, Volusia uśmiechnęła się do niego, zadając mu tortury groteskową podobizną ust.

- Podejdź tutaj, dowódco – powiedziała. – Zanim odejdiesz, chcę ci coś pokazać.

Odwrócił się z wolna i ruszył przez komnatę. Kiedy dotarł do niej, stanął u jej boku i wyjrzał na zewnątrz, gdziekolwiek, byleby nie na jej twarz.

- Nie masz li dla swej bogini ani jednego pocałunku na pożegnanie? – spytała.

Zauważyła, że wzdrygnął się prawie niezauważalnie, i ogarnęła ją na nowo złość.

- Nieważne – dodała ze złowieszczym wyrazem twarzy. – Jest jednak coś, co chciałabym ci pokazać. Spójrz. Widzisz, tam daleko, na horyzoncie? Przyjrzyj się dobrze. Powiedz mi, co tam dostrzegasz.

Podszedł, a ona położyła dłoń na jego ramieniu. Wychylił się i zlustrował linię horyzontu. Volusia zauważyła, jak z wolna zmarszczył brwi z konsternacji.

- Niczego nie widzę, bogini. Nic nadzwyczajnego.

Volusia uśmiechnęła się szeroko, czując jak narasta w niej dobrze znane uczucie mściwości, pragnienie siania przemocy, okrucieństwa.

- Przyjrzyj się dokładniej, dowódco – powiedziała.

Wychylił się nieco dalej do przodu. Wówczas, jednym szybkim ruchem Volusia chwyciła poły jego koszuli i z całych

sił wypchnęła go przez okno głową do przodu.

Brin wrzasnął, zaczął młócić powietrze rękoma, spadając sto stóp w dół i lądując twarzą na ulicy. Poniósł natychmiastową śmierć, a głuchy odgłos uderzenia rozniósł się echem po bądź co bądź cichych ulicach.

Volusia uśmiechnęła się, przyjrzała jego ciału i wreszcie poczuła, iż dopełniła się jej zemsta.

- To siebie tam widzisz – odparła. – I które z nas jest teraz bardziej groteskowe?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gwendolyn szła mrocznymi korytarzami wieży Poszukiwaczy Światła, wraz z towarzyszącym jej Krohnem. Wchodziła powoli po okrągłej rampie pnącej się wokół murów budowli. Drogę znakowały pochodnie oraz stojący w milczeniu na baczność, z dłońmi ukrytymi w szatach, wyznawcy kultu. Ciekawość Gwen wzmagала się z każdą, coraz to wyższą kondygnacją. Kristof, syn króla, po skończonej rozmowie zaprowadził ją do połowy wieży, po czym zawrócił i zszedł na dół. Poinstruował ją jednak przedtem, że będzie musiała sama odbyć podróż w górę wieży, by spotkać Eldofa, że może sama stanąć przed jego obliczem. Sposób, w jaki wyrażał się o nim przywodził jej na myśl traktowanie go niemal jak boga.

Powietrze wypełnił cichy śpiew oraz ciężka woń kadzidła. Gwen wspinała się stopniowo po rampie i zastanawiała: jakiej to tajemnicy strzeże Eldof? Czy obdarzy ją wiedzą potrzebną do ocalenia króla i uratowania Grani? Czy kiedykolwiek zdoła wyciągnąć stąd członków królewskiej rodziny?

Skręciła i nagle ujrzała przed sobą otwartą przestrzeń. Westchnęła na widok, jaki tam zastała. Wkroczyła do strzelistej komnaty, której strop piał się na sto stóp. Od podłogi aż po strop widniały zaś okna udekorowane witrażem. Sączyło się przez nie stonowane światło przesycone odcieniami szkarłatu, fioletu i różu, dzięki czemu komnata sprawiała wrażenie eterycznej

i nierzeczywistej. Najbardziej nieprawdopodobne było jednak owo odczucie, jakie zrodziło się w niej na widok zasiadającego w samym środku komnaty mężczyzny, jedynej osoby w tym przestronnym wnętrzu, na którą padał snop słonecznego światła. Oświecił go w sposób, jakby tylko on na to zasługiwał.

Eldof.

Serce Gwen zabiło mocno, kiedy zobaczyła go w odległym krańcu komnaty, niczym boga, który zstąpił z niebios. Siedział z rękoma splecionymi w lśniącej, złotej pelerynie, całkiem łysy, usadowiony na ogromnym, wspaniałym tronie wyrzeźbionym z kości słoniowej, pośród płonących po obu stronach jak i na wiodącej ku niemu pochylni pochodni, rozświetlających niewyraźnie pomieszczenie. Ta komnata, ten tron i wiodące do niego podwyższenie – wzbudzały podziw, jakim nie mógłby poszczycić się król. Natychmiast pojęła, dlaczego król czuł się zagrożony jego obecnością, kultem, tą wieżą. Zostały stworzone w taki sposób, by wzbudzać podziw i powodować uległość.

Nie skinął na nią, ani nawet nie zauważył jej obecności. Nie wiedząc, co czynić, Gwen ruszyła długim, złotym przejściem wiodącym do jego tronu. Wówczas zauważyła, iż jednak nie była tutaj sama. W cieniu kryły się zastępy wyznawców, stojących w równym rzędzie z przymkniętymi oczyma, dłońmi wsuniętymi za peleryny. Przyszło jej na myśl pytanie, ile tysięcy wyznawców ma Eldof.

Zatrzymała się w końcu kilka stóp przed tronem i podniosła wzrok.

Spojrzał w dół na nią oczyma zdawałoby się przedwiecznymi, bladoniebieskimi, lśnącymi, lecz kiedy uśmiechnął się do niej, nie było w nich ciepła. Wywierały hipnotyzujący wpływ. Podobny do tego, jaki odczuwała w obecności Argona.

Nie wiedziała, co powiedzieć, kiedy spoglądał tak na nią, miała wrażenie, że zagląda jej w duszę. Stała w milczeniu, czekając, aż będzie gotów. Poczula, jak stojący obok niej Krohn zeszytniał, równie spięty.

- Gwendolyn z Zachodniego Królestwa Kręgu, córka króla MacGila, ostatnia nadzieja na wybawienie swego ludu – i naszego – oznajmił z wolna, jakby czytał starożytny zwój. Miał głęboki głos, jakiego jeszcze nigdy nie słyszała. Brzmiał, jakby wydobywał się ze skalnych głębin. Przeszywał ją wzrokiem, a jego głos hipnotyzował. Kiedy zajrzała w jego oczy, straciła poczucie miejsca i czasu. W tym momencie odczuła, że jego osobowość ją wchłania. Czuła się niczym w transie, jakby nie mogła odwrócić wzroku, nawet, gdyby spróbowała. Natychmiast też poczuła, jakby stał się pępkiem jej świata i od razu pojęła, dlaczego ci wszyscy ludzie otaczają go czcią i podążają za nim.

Gwen spoglądała na niego, zapomniawszy na chwilę, co chciała powiedzieć, co zdarzało się jej nader rzadko. Nigdy nie była nikim taka zafascynowana – ona, ta, która stawiała przed obliczem królów i królowych; która sama była królową; ona, córka króla. Ten mężczyzna miał w sobie coś takiego, coś, czego nie potrafiła opisać; przez chwilę zapomniała nawet, z jakiego powodu tu przybyła.

Koniec końców, uporządkowała myśli na tyle, by przemówić.

- Przybyłam – zaczęła – ponieważ...

Roześmiał się, przerywając jej krótkim, donośnym dźwiękiem.

- Wiem, dlaczego przybyłaś – powiedział. – Wiedziałem, jeszcze zanim ty o tym wiedziałaś. Wiedziałem o twym nadejściu – doprawdy, wiedziałem zanim jeszcze przebyłaś Wielkie Pustkowia. Wiedziałem, że opuścisz Krąg, wyruszysz na Wyspy Górne i w podróż przez morze. Wiem o Thorgrinie, twym mężu, oraz Guwaynie, twym synu. Obserwowałem cię z wielkim zaniepokojeniem, Gwendolyn. Obserwowałem cię przez setki lat.

Jego słowa, poufałość człowieka, którego nie znała, przyprawiły Gwen o dreszcze. Poczowała mrowienie w ramionach i na całym ciele. Zastanawiała się, skąd wie o tym wszystkim. Odniosła też wrażenie, że znalazłszy się pod jego wpływem, nie jest w stanie uwolnić się i uciec, choćby próbowała.

- Skąd o tym wszystkim wiesz? – spytała.

Uśmiechnął się.

- Jam jest Eldof. Jam początek i kres wszelkiego poznania.

Wstał i Gwen zauważyła z szokiem, iż jest dwukrotnie wyższy od wszystkich ludzi, jakich widziała w swym życiu. Zrobił krok w jej stronę, w dół po pochylni, i swym hipnotyzującym wzrokiem sprawił, że Gwen nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Z wielkim trudem przychodziło jej skupić się przed jego obliczem, myśleć samodzielnie.

Siłą woli zmusiła się, by uspokoić myśli, skoncentrować się na

sprawie niecierpiącej zwłoki.

- Twój król cię potrzebuje – powiedziała. – Grań cię potrzebuje.

Roześmiał się.

- Mój król? – powtórzył z pogardą.

Gwen zmusiła się, by brnąć dalej w swych wysiłkach.

- Sądzi, że wiesz, jak ocalić Grań. Uważa, że ukrywasz przed nim jakąś tajemnicę, sekret, który może ocalić to miejsce i wszystkich żyjących tu ludzi.

- Owszem – odparł beznamiętnie.

Jego natychmiastowa, szczerza odpowiedź zbiła Gwen z tropu. Nie wiedziała, co powiedzieć. Spodziewała się raczej, że zaprzeczy.

- To prawda? – spytała osłupiała.

Uśmiechnął się, lecz nic nie powiedział.

- Ale dlaczego? – spytała. – Dlaczego nie podzielisz się wiedzą z innymi?

- A dlaczego miałbym to uczynić? – spytał.

- Dlaczego? – spytała zbita ponownie z tropu. – Oczywiście po to, by ocalić to królestwo, uratować jego lud.

- A dlaczego miałbym tego pragnąć? – naciskał.

Gwen zmrużyła oczy z konsternacji; nie miała pojęcia, jak zareagować. Koniec końców, Eldof westchnął.

- Twój problem – rzekł – polega na tym, że uważasz, iż wszystkim ludziom pisane jest ocalenie. I w tym się mylisz. Spoglądasz na czas z perspektywy kilku dekad; ja postrzegam

go w stuleciach. Ty traktujesz ludzi, jako kogoś niezastąpionego; ja postrzegam ich zaledwie jako trybiki wielkiego koła przeznaczenia i czasu.

Podszedł o krok i przeniknął ją wzrokiem.

- Niektórym, Gwendolyn, pisana jest śmierć. Niektórzy muszą umrzeć.

- Muszą umrzeć? – spytała z przerażeniem.

- Niektórzy muszą umrzeć, by uwolnić innych – powiedział.
– Niektórzy muszą zaznać upadku, by inni mogli powstać. Co takiego sprawia, że jeden człowiek jest ważniejszy od drugiego? Że jedno miejsce ma większe znaczenie niż inne?

Gwen jął rozważać jego słowa. Czuła się coraz bardziej zdezorientowana.

- Bez zagłady, bez odłogu nie nastąpi rozwój. Bez jałowych piasków pustyni nie powstaną fundamenty przyszłych wspaniałych miast. Co ma większe znaczenie: zniszczenie, czy rozwój, który po nim przyjdzie? Nie pojmujesz? Czymże jest zagłada, jak nie fundamentem?

Zdezorientowana Gwen próbowała to zrozumieć, lecz słowa Eldofa jedynie pogłębiły jej konsternację.

- Zatem będziesz stał obok i pozwolisz, by Grań i zamieszkujący ją lud umarły? – spytała. – Dlaczego? Co będziesz z tego miał?

Roześmiał się.

- Dlaczego wszystko zawsze musi wiązać się z jakąś korzyścią? – spytał. – Nie ocale ich ponieważ nie jest im to pisane

– powiedział dobitnie. – To miejsce, Grań, nie ma przetrwać. Ma ulec zniszczeniu. Ten król ma zginąć. Cały ten lud czeka zagłada. Moim zaś zadaniem nie jest stawać na drodze przeznaczeniu. Otrzymałem dar wejrzenia w przyszłość – lecz tego daru nie zamierzam nadużywać. Nie zmienię tego, co widzę. Kimże jestem, by stawać na drodze przeznaczenia.

Gwendolyn pomyślała mimowolnie o Thorgrinie, o Guwaynie.

Eldof uśmiechnął się szeroko.

- A tak – rzekł, spoglądając na prawo na nią. – Twój mąż. Twój syn.

Gwen odwróciła wzrok. Była wstrząśnięta. Zastanawiała się, w jaki sposób odczytał jej myśli.

- Tak bardzo pragniesz im pomóc – dodał, po czym pokręcił głową. – Czasami jednak nie możesz zmienić przeznaczenia.

Spasowała na twarzy. Otrząsnęła się z jego słów. Była zdeterminowana.

- Ja zmienię przeznaczenie – powiedziała stanowczo. – Bez względu na cenę. Nawet jeśli będę zmuszona zaprzedać własną duszę.

Eldof spojrzał na nią i przez długą chwilę lustrował ją uważnie.

- Tak – rzekł. – Uczynisz to, prawda? Dostrzegam w tobie tę siłę. Duszę wojownika.

Przyjrzał się jej uważnie. Po raz pierwszy Gwen dostrzegła w wyrazie jego twarzy odrobinę pewności.

- Nie spodziewałem się dostrzec tego u ciebie – kontynuował pokornym głosem. – Istnieje garstka wybranych, którzy, podobnie jak ty, mogą zmieniać przeznaczenie. Lecz cena, jaką zapłacisz, jest ogromna.

Westchnął, jakby otrząsnąwszy się z jakiejś wizji.

- W każdym razie – kontynuował – tutaj go nie zmienisz - nie w Grani. Nadchodzi śmierć. To, czego im trzeba, to nie ratunek —lecz exodus. Potrzebny im nowy przywódca, który poprowadzi ich przez Wielkie Pustkowia. Myślę, że wiesz już, że to ty nim jesteś.

Jego słowa przyprawiły Gwen o dreszcze. Nie potrafiła wyobrazić sobie, iż będzie ją stać podjąć się tego wszystkiego na nowo.

- Jak mogłabym ich poprowadzić? – spytała, wyczerpana samą tą myślą. – I dokąd, jeśli w ogóle zostało jeszcze jakieś miejsce? Jesteśmy na pełnym pustkowiu.

Odwrócił się. Zamilkł i ruszył przed siebie. Gwen poczuła nagle dławiące ją pragnienie, by dowiedzieć się więcej na ten temat.

- Powiedz mi – rzekła, podbiegając do niego i chwytając jego ramię.

Odwrócił się i spojrzał na jej dłoń tak, jakby to wąż go dotykał. Dopóki go nie puściła. Z cienia wyłoniło się nagle kilku mnichów. Przystanęli w pobliżu, spoglądając na nią ze złością – aż do chwili, gdy Eldof skinął na nich głową i wycofali się na swe miejsca.

- Powiedzmy – rzekł do niej – że odpowiem tylko raz. Tylko na jedno pytanie. Czego zatem pragniesz się dowiedzieć?

Gwen zaczerpnęła rozpaczliwie tchu.

- Guwayne – powiedziała z zapartym tchem. – Mój syn. Jak go odzyskać? Jak zmienić przeznaczenie?

Przyjrzał się jej uważnie przez długą chwilę.

- Odpowiedź masz przed sobą przez ten cały czas, a jednak jej nie dostrzegasz.

Gwen jęła głowić się, pragnąc rozpaczliwie poznać prawdę, mimo to nie mogła pojąć, co to takiego.

- Argon – dodał. – Pozostał już tylko jeden sekret, który obawia się ci wyjawić. To jest twa odpowiedź.

Gwen była wstrząśnięta.

- Argon? – spytała. – Argon zna odpowiedź?

Eldof pokręcił głową.

- On nie. Ale jego mistrz owszem.

Gwen była wstrząśnięta.

- Jego mistrz? – spytała.

Gwen nigdy nie przyszło do głowy, że Argon może mieć mistrza.

Eldof skinął głową.

- Zażądaj, by zaprowadził cię do niego – powiedział ze stanowczością. – Odpowiedzi, które otrzymasz, zaskoczą nawet ciebie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Mardig kroczył zamkowymi korytarzami z determinacją. Serce tłukło mu się w piersi, gdyż oczyma wyobraźni widział to, czego w zamyśle już dokonał. Sięgnął w dół i spoconą dłonią chwycił sztylet ukryty głęboko za pazuchą. Szedł tą samą drogą, którą pokonał już tysiące razy – by spotkać się ze swym ojcem.

Komnata króla znajdowała się już niedaleko. Mardig skręcał i przemierzał znajome korytarze, mijał strażę, które na widok królewskiego syna oddawały nabożne ukłony. Wiedział, że z ich strony nie musi się niczego obawiać. Nikt nie miał najmniejszego pojęcia o tym, co zamierza uczynić, ani też nikt nie będzie wiedział, co zaszło na długo po tym, kiedy ów czyn zostanie popełniony – i królestwo przypadnie jemu.

Trawił go wir sprzecznych uczuć. Zmuszał się jednak, by stawiać krok za krokiem, mimo drżących kolan, by wytrwać w postanowieniu, gotując się na dokonanie tego, co rozważał przez całe swe życie. Jego ojciec od zawsze był mu ciemieżcą, zawsze odnosił się do niego z dezaprobatą, choć swym pozostałym synom, wojownikom, sprzyjał przy każdej okazji. Nawet córkę cenił bardziej od niego. I to wszystko z powodu tego, iż on, Mardig, zdecydował się nie uczestniczyć w owej kulturze rycerskości; wszystko z powodu tego, iż wolał pić wino i uganiać się za kobietami – zamiast zabijać innych.

W oczach ojca czyniło to z niego nieudacznika. Ojciec

patrzył krzywo na wszelkie jego poczynania, jego ganiący wzrok podążał za Mardigiem wszędzie, gdzie ten się udał. Mardig zatem od zawsze marzył o dniu zemsty. Jednocześnie, nadarzała się okazja, by Mardig sam przejął władzę. Spodziewano się, że królestwo przypadnie któremuś z jego braci, najstarszemu z nich, Koldowi, lub, jeśli nie jemu, to Ludvigowi, bliźniaczemu bratu Mardiga. Mardig miał jednak inne plany.

Kiedy minął zakręt, stojący na straży żołnierze złożyli niskie ukłony i odwrócili się, by otworzyć przed nim drzwi, nie pytając nawet o powód jego przybycia.

Nagle jednak jeden z nich zatrzymał się niespodziewanie, odwrócił się i spojrzał na niego.

- Panie – powiedział – król nie powiadomił nas o dzisiejszych odwiedzinach.

Serce zabiło mu mocniej, lecz siłą woli przybrał śmiały i pewny siebie wyraz twarzy; odwrócił się i wlepił wzrok w żołnierza, obrzucił go spojrzeniem nie znośącym nieposłuszeństwa, aż w końcu żołnierz stracił rezon.

- Czyż jestem zwyczajnym odwiedzającym? – odparł lodowatym głosem Mardig, starając się za wszelką cenę nie okazywać strachu.

Strażnik wycofał się szybko i Mardig wszedł przez otwarte drzwi, które zamknęły się zaraz za nim.

Wkroczył do komnaty i w tej samej chwili dostrzegł zdumione spojrzenie ojca, który stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz, pogrążony w zadumie nad swym królestwem. Stał naprzeciw

syna, zdziwiony jego wizytą.

- Mardig – powiedział ojciec – czemu zawdzięczam ten zaszczyt? Nie wzywałem cię. Ty również nie raczyłeś odwiedzić mnie przez te wszystkie ostatnie księżycy – chyba, że czegoś chcesz.

Serce załomotało Mardigowi w klatce piersiowej.

- Nie przybyłem tu, ojcze, aby prosić cię o cokolwiek – odparł.
- Przyszedłem, by brać.

Ojciec wyglądał na skonsternowanego.

- By brać? – spytał.

- Brać to, co moje – odrzekł Mardig.

Mardig pokonał komnatę w kilku długich susach, przygotowując się na to, co nastąpi, zaś jego ojciec spojrzał na niego ze zdumieniem.

- A cóż to takiego, co jest twoje? – spytał.

Mardig poczuł, jak dłonie oblewa mu pot, poczuł spoczywający w jednej z nich sztylet i zwątpił, czy da radę przez to przejść.

- Królestwo, a cóżby innego – powiedział.

Mardig powoli rozluźnił chwyt na sztylcie. Pragnął, by ojciec go ujrzał, zanim poniesie śmierć, by na własne oczy zobaczyć, jaką nienawiścią darzy go jego własny syn. Chciał ujrzeć na twarzy ojca wyraz strachu, szoku i wściekłości.

Kiedy jednak ojciec spuścił wzrok, Mardig nie spodziewał się tego, co nastąpiło. Oczekiwał, że ojciec stawi opór, że będzie walczył; zamiast tego spojrzał na niego oczyma pełnymi smutku

i współczucia.

- Mój chłopcze – powiedział. – Wciąż jesteś moim synem, mimo wszystko, i darzę cię miłością. Wiem, iż w głębi serca nie tego pragniesz.

Mardig zmrużył oczy. Poczuł się zdezorientowany.

- Jestem chory – kontynuował król. – Wkrótce umrę. A kiedy to nastąpi, królestwo przypadnie twoim braciom, nie tobie. Nawet jeśli mnie teraz zabijesz, nic na tym nie zyskasz. Nadal będziesz trzeci w kolejce. Odłóż zatem swój sztylet i obejmij mnie. Nadal cię kocham, jak każdy ojciec swego syna.

W nagłym porywie gniewu, z drżącymi rękoma, Mardig runął do przodu i zatopił sztylet głęboko w sercu ojca.

Król stanął z wybałuszonymi z niedowierzania oczyma. Mardig przytrzymał go mocno i spojrzał mu w oczy.

- Twa choroba uczyniła cię słabym, ojcze – powiedział. – Pięć lat temu nie byłbym w stanie tego dokonać. Królestwu niepotrzebny słabowity władca. Wiem, że wkrótce umrzesz – ale dla mnie to i tak za długo.

Jego ojciec upadł w końcu na podłogę i znieruchomiał.

Był martwy.

Mardig spuścił wzrok, oddychając ciężko, wciąż będąc pod wpływem szoku wywołanego tym, co właśnie uczynił. Wytarł dłoni o swą szatę i porzucił sztylet, który wylądował na podłodze ze szczękiem.

Spojrzał gniewnie na ojca.

- I nie troskaj się o mych braci, ojcze – dodał. – Im również

zgotowałem pewien los.

Przeszedł nad zwłokami ojca, podszedł do okna i spojrzał na miasto poniżej. Jego miasto.

Teraz wszystko to należało do niego.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kendrick uniósł miecz i zablokował cios Piechura, który zaatakował go swym ostrym niczym brzytwa szponem z zamiarem rozorania mu twarzy. Szpon uderzył ze szczękiem, sypiąc wokół iskrami. Kendrick zrobił unik, kiedy stwor zsunał pazury po ostrzu i zamachnął się nimi na jego głowę.

Kendrick obrócił się na pięcie i ciął, lecz stworzenie wykazało się zdumiewającą chyżością. Cofnęło się i miecz Kendricka minął je o włos. Wówczas stworzenie rzuciło się na niego, skacząc wysoko w powietrze i nurkując wprost na Kendricka – który tym razem był już przygotowany. Nie docenił jego prędkości, jednak drugi raz nie popełni tego samego błędu. Przykucnął nisko i wznosił miecz – i pozwolił, by bestia nadziała się na niego. Ostrze przeszło je na wylot.

Kendrick podniósł się na kolana i machnął mieczem nisko nad ziemią, tnąc po nogach atakujących go dwóch Piechurów. Następnie odwrócił się i wykonał pchnięcie w tył, przeszywając jednemu bebechy tuż zanim spadł mu na plecy.

Bestie opadły go ze wszystkich stron. Kendrick znalazł się w samym środku zagorzałej bitwy wraz z walczącymi u jego boku Brandtem, Atme, a po drugiej stronie Koldem oraz Ludvigiem. Cała piątka ustawiła się, wspierając się instynktownie jeden o drugiego, tworząc zbity krąg i rozdając na wszystkie strony cięcia, pchnięcia i kopniaki. Utrzymywali stworzenia na dystans,

bacząc jednocześnie jeden na drugiego.

Walczyli zaciekle, wciąż i wciąż, pod prażącymi słońcami, nie mając gdzie wycofać się w tym bezkresnym pustkowiu. Ramiona Kendricka palił żywy ból. Był po łokcie we krwi, wycieńczony długą wędrówką i niemającą końca bitwą. Nie dysponowali żadnymi rezerwami i nie mieli dokąd się udać. Wszyscy toczyli walkę na śmierć i życie. Powietrze wypełniły krzyki rozwścieczonych bestii, które padały na prawo i lewo. Kendrick pojmował, iż muszą zachować ostrożność; czekała ich długa wędrówka powrotna. Jakakolwiek odniesiona teraz rana mogła dla każdego z nich mieć tragiczne konsekwencje.

Walczył dalej, aż nagle, w oddali, mignął mu wizerunek chłopca, Kadena. Odetchnął z ulgą, widząc, że wciąż żyje. Kaden szamotał się ze związanymi za plecami rękoma, powstrzymywany przez kilka z tych stworzeń. Jego widok zmotywował Kendricka, przypomniawszy mu, z jakiego powodu przede wszystkim tu przybył. Walczył zaciekle, podwajając wysiłki, starając się wyrąbać sobie drogę wśród bestii i dotrzeć do chłopca. Nie podobało mu się, w jaki sposób go traktują. Wiedział też, że musi przedrzeć się do niego zanim owe stwory uczynią coś pochoptego.

Nagle poczuł, jak coś ostrego rozcina mu ramię i jęknął z bólu. Odwrócił się i ujrzał, jak stwór gotuje się, by zaatakować go ponownie, opada z ostrymi niczym brzytwa pazurami wprost na jego twarz. Nie mógł zdążyć na czas, więc przygotował się jedynie na uderzenie, spodziewając się, iż rozora mu twarz na

dwoje – wtem Brandt runął do przodu i przebił stworzenie mieczem, ocalając Kendricka w ostatniej chwili.

Jednocześnie, Atme zrobił wyrok i ciął stwora zanim ten zdołał zatopić kły w gardle Brandta.

Kendrick obrócił się wówczas i siekł dwa stworzenia zamierzające się na Atmego.

Zataczał koło raz po raz, obracając się i tnąc, walcząc z każdą napotkaną bestią, ubijając je po kolei, do ostatka. Stworzenia padały u ich stóp, tworząc stosy na piasku, który zabarwił się czerwienią od ich krwi.

Kendrick dostrzegł kątem oka, jak kilku Piechurów chwytając Kadena i rzuca się z nim do ucieczki. Serce załomotało mu w piersi; wiedział, że sytuacja jest trudna. Jeśli straci ich z oczu, znikną na pustyni i już nigdy nie odnajdą Kadena.

Kendrick pojął, że musi działać natychmiast. Wyrwał się z kręgu walki, rozpychając kilka stworów łokciami na boki i rzucił się w pogoń za chłopcem, pozostawiając innym pokonanie Piechurów. Kilku z nich ruszyło za nim. Kendrick odwrócił się i potraktował ich kopniakami i mieczem, zniechęcając do pogoni. Czuł draśnięcia z każdej strony, jednak bez względu na wszystko nie zatrzymał się. Musiał dotrzeć do Kadena na czas.

Zauważywszy Kadena ponownie, Kendrick pojął, że musi go zatrzymać; zrozumiał też, że ma tylko jeden rzut.

Sięgnął do pasa, chwycił nóż i rzucił go. Wylądował w karku stworzenia, zabijając je tuż przedtem, jak wbiło szpony w gardło Kadena. Kendrick przebił się przez grupę, zmniejszyl dzielącą

go od Kadena odległość, podbiegł bliżej i przeszył kolejne stworzenie zanim ono zdążyło wykończyć chłopca.

Zajął obronną pozycję nad leżącym na ziemi, związanym Kadenem i jął wybijać jego porywaczy. W miarę, jak coraz więcej stworzeń osaczało go z każdej strony, Kendrick blokował uderzenia ich szponów i otoczony zewsząd, ciął i szlachtował, zdeterminowany, by ocalić Kadena. Pozostali byli zbyt pochłonięci walką, by przybyć Kadenowi z odsieczą.

Kendrick uniósł wysoko miecz i rozciął chłopcu więzy, uwalniając go.

- Weź mój miecz! – rzucił błagalnie Kendrick.

Kaden dobył dodatkowego, krótkiego miecza z pochwy Kendricka, zatoczył koło i stanął naprzeciw reszty stworzeń, u boku Kendricka. Choć był młody, Kendrick zauważył, iż chłopiec cechuje się chyżością, odwagą i śmiałością. I ucieszył się, mając go u boku, walczącego ze stworzeniami.

Walczyli razem z powodzeniem, powalając stwory na lewo i prawo. Lecz, choć nie ustępowali ani na krok, przeciwnik był po prostu zbyt liczny i wkrótce całkowicie otoczył Kendricka i Kadena.

Kendrick tracił siły. Z obolałymi ze zmęczenia ramionami walczył, aż nagle zauważył, że stwory poczęły ustępować. Usłyszał docierający zza nich przeraźliwy okrzyk bojowy i uradował się niezmiernie na widok przełamujących się przez linię przeciwnika Kolda, Ludviga, Brandta i Atme. Zachęcony ich obecnością, Kendrick odparł atakujące go stworzenia, i,

wykonawszy jeszcze jedno, ostatnie pchnięcie, przedostał się do przyjaciół. Cała szóstka, walcząca razem, była nie do powstrzymania i pokonała wszystkie stworzenia.

Kendrick stał w ciszy, oddychając ciężko pośród pustynnych piasków, i rozglądał się wokoło; nie mógł uwierzyć w to, czego właśnie dokonali. Wszędzie walały się zewłoki ubitych bestii, rozwalone beładnie na czerwonym od ich krwi piasku. Kendrick i pozostali odnieśli rany i zadrapania – ale wszyscy stali na nogach, wciąż żywi. A Kaden, szczerząc się od ucha do ucha, był wolny.

Chłopiec wyciągnął ręce i padł każdemu z nich w objęcia zaczynając od Kendricka i spoglądając na niego z wdzięcznością. Ostatni uścisk zachował dla Kolda, swego najstarszego brata. Koldo przytulił go również, połyskując swą czarną skórą na słońcu.

- Nie mogę uwierzyć, że po mnie przyszlście – rzekł Kaden.

- Jesteś moim bratem – powiedział Koldo. – Gdzie indziej miałbym teraz być?

Kendrick usłyszał jakiś dźwięk, obejrzał się i zobaczył sześć koni porwanych przez owe stworzenia, uwiązanych razem liną – i wymienił porozumiewawcze spojrzenie z pozostałymi.

Jak jeden mąż, podbiegli do wierzchowców. Ledwie je dosiedli, a już dźgnęli je piętami i ponagliłi do jazdy z powrotem na Pustkowie, kierując się ku Grani, jadąc koniec końców do domu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Erec stał na rufie okrętu zajmującego ostatnią pozycję we flotylli i ponownie zerknął przez ramię z niepokojem. Z jednej strony odetchnął z ulgą, gdy zmiotli z powierzchni ziemi imperialnych z wioski i wrócili na rzekę, płynąc z powrotem do Volusii, ku Gwendolyn; z drugiej – kosztowało go to naprawdę dużo, nie tylko stracił ludzi, ale też czas – nieodwracalnie stracił przewagę, jaką do tej pory miał nad pozostałością floty Imperium. Kiedy zerknął za siebie, ujrzał ich o wiele za blisko. Podążali za nim, meandrując w górę rzeki, ledwie kilkaset jardów dalej, a na ich masztach powiewała czarno-złota bandera Imperium. Stracił swój dzień przewagi i obecnie ścigali go zaciekle, niczym szerszeń polujący na ofiarę. Mając lepsze statki, z kompletem załogi, zbliżali się nieubłaganie, z każdym podmuchem wiatru coraz bardziej.

Erec odwrócił się i zlustrował horyzont. Dzięki zwiadowcom wiedział, że Volusia leży za którymś z kolejnych zakoli – jednakże, w tempie, z jakim Imperium nadrabiało dzielącą ich odległość, zastanawiał się, czy jego niewielka flotylla dotrze na miejsce na czas. Zaczęło mu świtać, że w sytuacji, kiedy nie zdążą dopłynąć do Volusii, będą zmuszeni zawrócić i stawić opór – a, zważywszy na przytłaczającą przewagę liczebną wroga – nie mogli odnieść zwycięstwa.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.